Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 22 lipca 1945 r. | Nr 34

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ

Rok minął od dnia, kiedy pragnienie wolności narodu polskiego zostało wyrażone aktem państwowym. 22-ego lipca 1944 roku w dniu powszednim drugiej wojny światowej, kiedy ogromne przestrzenie Europy były wciąż jeszcze obozem koncentracyjnym, a śmierć jedyną drogą do wyzwolenia, na skrawku ziemi polskiej oswobodzonym w wyniku zwycięskiej ofensywy Armii Czerwonej i walczącej przy jej ramieniu Pierwszej Armii Polskiej, naród na zniszczenie skazany swoją niepodległość i wolność objawił. Ogłoszony w Chełmie Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego jest pierwszym w tej wojnie na ziemi polskiej niepodległym o Polsce słowem, które określa jej trwałe miejsce w świecie narodów wolnych. Życie i wolność, te dwie największe wartości człowieka na ziemi, Manifest z 22-ego lipca 1944 r. wymówił jednym słowem, które dziś w skali państwowej ciałem się stało. Po doświadczeniach przewagi silnych nad słabszymi, po tej wojnie straszliwej prawda o losie narodu jeden sens posiada: gwarancją jego wolności i życia jest tylko ustrój demokratyczny w najściślejszym znaczeniu tego słowa. Manifest chełmski jest wyrazem zrozumienia przez naród polski tej prawdy, a działalność Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego jej realizowaniem.

Dobro narodu zależy od kierowników, którzy mu cele i drogi wyznaczają. Mało kiedy w historii cele słuszne i drogi prawidłowe były tak widome jak w tej wojnie. Tylko szaleńcy mogli by w inną niż w stronę demokracji drogę narodowi wskazywać.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego biorąc na siebie odpowiedzialność kierowania losami narodu utworzony został w wyniku porozumienia tych żywiołów narodu, które światopogląd demokratyczny w Polsce reprezentują. Cztery stronnictwa polskiej demokracji skupiają wszystkie siły żywotne jakie w narodzie polskim są i siły te do realizacji dobra kraju kierują.

Manifest, który rok temu w Chełmie został ogłoszony, był pierwszym niepodległym słowem polskiej demokracji. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego był pierwszym jej państwowym kształtem.

Przebudowa ustroju społecznego i politycznego, jaka się odbywa i odbywać się będzie w Polsce, idzie po linii tych wytycznych, które Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego ustalił. Z odległości roku hasła w Chełmie sformułowane posiadają walor już nie wezwania tylko lecz faktu, który się stał.

Manifest z 22-ego lipca sformułował po raz pierwszy w naszej historii nowożytnej prawo Polski do ziem utraconych na rzecz niemczyzny i postawił jako cel naszej polityki żądanie, by Odra i Nisa były jej zachodnimi granicami, a dla realizacji tego celu i trwałości naszego bytu państwowego zdecydował oprzeć politykę zagraniczną państwa na trwałej przyjaźni z ZSRR i sojuszu z demokracjami zachodnimi.

Manifest z 22-ego lipca postanowił, by w życiu politycznym ci tylko głos mieć mogli, którzy interes polski z interesem demokracji łączą.

Manifest z 22-ego lipca ogłosił, że ziemia może być własnością tych tylko, którzy wyłącznie posiadania jej są godni: chłopi uprawiający ją własnym trudem. Gdyż tylko pracą na ziemi zdobywa się tytuł do jej własności.

Manifest z 22-ego lipca zdeklarował upaństwowienie wielkiego przemysłu, by o gospodarowaniu krajem decydował interes wspólny wszystkich obywateli.

W Manifeście z 22-ego lipca wyznaczono kulturze naczelną rolę w życiu narodowym, człowiekowi ją tworzącemu przywrócono godność oraz sformułowano podstawy jego materialnego zabezpieczenia. Upowszechnienie dóbr kulturalnych uznano za konieczność państwową, którą reforma oświatowa i powołane związki artystyczne zrealizują.

Utworzenie w dniu 31 grudnia 1944 r. Rządu Tymczasowego potwierdza słuszność wytycznych Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego już w skali międzynarodowej. Rząd Tymczasowy uznany przez ZSRR staje się niezbędnym czynnikiem równowagi politycznej w Europie.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, a w następstwie Rząd Tymczasowy dążyły do wciągnięcia do współpracy w kierowaniu państwem wszystkich Polaków, którzy jego dobro, a więc dobro demokracji ze swoim życiem wiążą.

Utworzenie Rządu Jedności Narodowej jest tej gotowości do porozumienia z całą polską demokracją dowodem. Jeśli trudna i długa była droga do porozumienia wiodąca, to tylko dlatego, że jedyny sens prawdy o losie narodu nie dla wszystkich był dostępny. Trzeba było wiele przeszkód pokonać i wielu szaleńcom broń z ręki odebrać, gdyż dobro narodu nie zezwalało na ofiary i ustępstwa ze strony obozu demokracji.

Rząd Jedności Narodowej, uznany jako jedyny rząd polski przez ZSSR, Anglię, Amerykę, Francję i Chiny jest potwierdzeniem, że cele przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego 22-ego lipca 1944 r. wytyczone były jedynie słuszne a droga jedynie prawdziwa.

Manifest rok temu w Chełmie ogłoszony jest nadal podstawą polskiej polityki a hasła w nim zawarte będą tak jak były ściśle i wiernie z duchem demokracji realizowane.

RYSZARD MATUSZEWSKI

O tzw. literaturę chłopską

Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej organizuje w Warszawie w pierwszych dniach sierpnia zjazd pisarzy chłopskich. Inicjatywa ta wzbudzić musi zainteresowanie zarówno ze względu na stosunek głównej, wyłonionej w toku wielkich przemian na wsi organizacji — do literatury, jak i ze względu na będące od dawna przedmiotem licznych dyskusji i wątpliwości zagadnienie tzw. „pisarza chłopskiego“ i „chłopskiej literatury“.

Istnieją trzy możliwości pojmowania „literatury chłopskiej“. Może być nią literatura tworzona dla chłopa, przez chłopa, oraz literatura o pewnej określonej tematyce, względnie problematyce.

Przeciwko tworzeniu specjalnej literatury „dla chłopa“ podniesiony został najwcześniej cały szereg zastrzeżeń. Nie ma i nie powinno być odrębnej twórczości tego rodzaju. Chłop będąc pełnoprawnym obywatelem państwa korzysta o tyle tylko z literatury specjalnej, o ile jest mu to potrzebne ze względów zawodowych czy oświatowych, a wtedy nie jest to bynajmniej literatura chłopska, ale po prostu piśmiennictwo fachowe lub pedagogiczne w równej mierze obliczone na potrzeby chłopa, jak i innego czytelnika takiej specjalnej literatury.

Jeśli chodzi o literaturę piękną, trudno sobie po prostu wyobrazić utwory, które mogłyby dziś powstawać, pisane wyłącznie dla chłopa. Czym miałyby się one odznaczać? Jakąś specjalną tematyką? Sposobem ujęcia? Przystępnością języka? Czy też jego odrębnością?

Z niefotunnymi próbami stworzenia tego rodzaju literatury mieliśmy do czynienia na gruncie poczynań rozhasanego u nas przed wojną „regionalizmu“, pojętego jako rodzaj ideologii odrębności terytorialno-obyczajowej chłopa. Nie wiadomo dlaczego utożsamiano to, co się ze wsi wywodzi z tym, co dla niej jest przeznaczone, i uważano, że wieś interesuje się przede wszystkim i wyłącznie sobą. Stąd do stanowiska, że wieś wyłącznie sobą interesować się powinna, jeden krok tylko. Trudno czasem w owych „wyczynach“ regionalnych rozgraniczyć to, co było jedynie wynikiem naiwności i nieświadomych błędów, od tego, co wyrastało z najzupełniej świadomego społecznego szkodnictwa. Do której kategorii zaliczyć należy na przykład osławione radiowe audycje „dla wsi“? Jeśli spotykaliśmy się w nich z literaturą, to właśnie oparta była ona na wyżej przedstawionych błędnych założeniach.

Powie ktoś na to: zgoda, ale istnieje przecież specjalny sposób pisania dla młodzieży — łatwy, przystępny, operujący specjalną tematyką, uwzględniającą zainteresowania wieku, do którego jest dostosowana. Ciągle jeszcze dzisiaj przeciętny czytelnik wiejski wymaga, mimo wysiłku pchnięcia wsi naprzód, specjalnego sposobu podejścia.

Nie jest to stanowisko słuszne. Czytelnik wiejski, o ile w ogóle jest czytelnikiem, a więc konsumentem jakiejkolwiek literatury — jest czytelnikiem normalnym: mniej lub więcej przygotowanym do przyjęcia tego czy innego dzieła literackiego, i niczym nie różni się, jeśliby chodziło o sposób pedagogicznego doń podejścia, od czytelnika ze środowisk robotniczych czy drobnomieszczańskich. Bez ryzyka można powiedzieć, że te same wymagania stawia dzisiaj pisarzowi względ na czytelnika chłopa, co potrzeba dostosowania się do mas czytelniczych w ogóle. To raczej w stosunku do garstki osób obeznanych z problematyką rzemiosła literackiego, należałoby stworzyć specjalny dział w bibliotekach, gdyby już koniecznie chodziło o jakieś wyodrębnienia. Literatura chłopska jako literatura pisana dla chłopa nie istnieje i istnieć nie powinna.

A zatem może mówiąc o „literaturze chłopskiej“ i o „pisarzach chłopskich“, mamy na myśli twórców chłopskiego pochodzenia i to co jest ich dorobkiem? Ten punkt widzenia zdaje się bardzo często być podłożem pojmowania twórczości chłopskiej jako pewnej odrębnej całości, wydaje się jednak, że równie jak i pierwszy, a może nawet bardziej prowadzi nas na manowce. Pisarz pochodzenia chłopskiego, czy pisarz-chłop — to pojęcie, któremu może towarzyszyć jakaś konkretna rzeczywistość co najwyżej na gruncie socjologicznym. Na gruncie literackim — jest to pisarz lepszy lub gorszy, a jego twórczość, nawet jeśli również badana będzie socjologicznie, w wynikach badania nie zawsze wykaże równoległość cech dzieła z danymi dotyczącymi osobowości twórcy. Z punktu widzenia jakkolwiek pojętej problematyki literackiej nie ma odrębnej literatury, tworzonej przez pisarzy „chłopskich“, nie ma „literatury chłopskiej“ tworzonej przez chłopów, jest tylko po prostu literatura. Pisarz chłopski, jeśli jest pisarzem — wchodzi do niej. Jeśli dzieło jego nie ma cech utworu artystycznie wyrobionego, nie jest on pisarzem — jest próbującym swych sił amatorem. Chłopem, czy nie chłopem — może to mieć znaczenie społeczne, ale nie ma literackiego. Znaczna część produkcji chłopskiej, często nawet budzącej uwagę, nie jest literaturą. Nie są nią kulejące wiersze, ani liczne chłopskie pamiętniki, choć niejednokrotnie mogą mieć one bardzo dużą nawet wartość jako źródła literackie. Szczególne upośledzenie chłopa należące dziś do przeszłości spowodowało, że każdy przejaw chłopskiej twórczości traktowany był niekiedy jako swego rodzaju fenomen, co nie miało miejsca w stosunku do twórczości z wsią niezwiązanej. Dziś powody takiego traktowania chłopskiej twórczości nie istnieją. Czym innym jest popieranie tych przejawów u młodzieży chłopskiej — należy to do zakresu działania polityki oświatowej — czym innym zaś wybór i selekcja talentów pisarskich, które w imię równych praw i godności chłopa w nowej Polsce powinny się odbywać na tych samych zasadach co w stosunku do innych pisarzy. Literaturą chłopską mogłaby być zatem w powyżej przedstawionym rozumieniu tylko prawdziwa literatura.

Ale wyżej zaznaczyliśmy już, że odrębność literatury stworzonej przez chłopa nie zawsze daje się stwierdzić. Pomijamy tutaj mętność i nieścisłość samego pojęcia pisarza „chłopskiego pochodzenia“. Rozumiemy, że chłop — to niekoniecznie rolnik, że może być on także pracownikiem pióra. Jednakże jako cecha wyróżniająca odrębny gatunek literatury, okoliczność, że gatunek ten pochodzi spod pióra chłopskiego — nie jest i nie może być dostateczny.

Zostaje do rozpatrzenia trzeci i ostatni sposób pojmowania tego, czym jest pisarz chłopski i literatura chłopska. Chodziło by o odrębność tego zjawiska ze względu na tematykę, czy też ściślej biorąc ze względu na problematykę zagadnień ruchu chłopskiego i kultury chłopskiej. Mówiąc o tematyce chłopskiej stajemy wobec niebezpieczeństwa uważania z innych pobudek za literaturę chłopską tego, co uchodzić za nią mogło, jako literatura tworzona „dla chłopa“. Wszystko, co mówi o owych „dożynkach“, „oczepinach“, o tym, co dzieje się na wsi, u chłopa w zagrodzie — to literatura chłopska, bez względu na to jak to jest zrobione, komu pokazane i w jakim celu. Od tego rodzaju ujęcia znowuż należało by się odgrodzić. Za literaturę chłopską należało by uważać tę część literatury, prawdziwej oczywiście literatury, a nie dziennikarstwa czy publicystyki, w której na miejsce naczelne wysuwa się zagadnienie chłopa, jego kultury oraz walki o jego prawa. Literatura chłopska jest wyrazem pewnej postawy pisarza. Pisarz chłopski — to trybun sprawy chłopskiej. To, co pisze — to literatura „stanu chłopskiego“, literatura strzegąca świadomości mas chłopskich i broniąca chłopskich interesów.

Jest rzeczą jasną, że istnienie takiej literatury i takiej problematyki pociąga za sobą w pewnym sensie również istnienie literatury, pisanej przez chłopa i dla chłopa. Zagadnieniami chłopskimi zajmować się można tylko albo tkwiąc w nich samemu, albo dochodząc poprzez te zagadnienia do chłopskiego czytelnika. Jeżeli zatem mimo wszystko uważamy wyżej przeprowadzone rozróżnienie za ważne, to dlatego, że z niego wynika właściwy typ tego, co za literaturę chłopską dzisiaj uważane być może i powinno. Nie chodzi przecież o zniżanie się do ludu, ani o kołatanie chłopa do zamkniętych wrót kultury. Chodzi o zagadnienie wciąż jeszcze żywe, wciąż budzące troskę i aktualne. Dopóki będzie ono istniało w tej formie co dotychczas, będzie istnieć również „literatura chłopska“ tego rodzaju. Kiedy się ułoży, przewarstwi, przesunie — będzie ona być może tym, czym jest dziś literatura „szlachecka“, „mieszczańska“ lub literatura chłopska w Skandynawii: syntezą, spokojnym tokiem epickiej opowieści.

Można by się zastanawiać dzisiaj, o ile celową rzeczą jest skupianie pisarzy chłopskich. Narzucanie im jakichkolwiek odrębnych form organizacyjnych nie wydaje się w każdym razie celowe. Chodzi przecież nie o to, kto pisze, ale o to jak, i dążeniem ruchu chłopskiego winno stać się nie odgraniczenie pewnego odłamu literatury, ale raczej spowodowanie, aby każdy pisarz, czuły na zagadnienia żywe i aktualne, pewną cząstkę twórczości swej poświęcił problematyce zagadnienia chłopskiego. W tym duchu, w duchu zjednoczenia oraz odpowiedniego nastawienia dążeń i wysiłków całej literatury, winni pójść zebrani na zjeździe pisarze chłopscy. W duchu utrwalenia przekonania, że o tyle, o ile w przyszłej kulturze Polski ważną rolę odegra kultura chłopa, literatura nie może pozostać poza nawiasem i poza biegiem procesu jej kształtowania.

MARIAN PROMIŃSKI

Szczecin — ziemia obiecana

Szczecin, w lipcu 1945.

Wsłuchuję się w monotonny szum naszego ośmiocylindrowego Steyera. Szofer jedzie tak, iż zdaje się — dach zwali się na głowę. Wzdłuż okien wyskakują długimi paciorkami korony drzew, tak charakterystyczne dla dróg Pomorza. Wśród szmaragdu pól i błoni snują się kolorowe mgły — bławatów, kąkoli i trującożółtej, niezłamanej żadnym cieniem barwy łubinu. To jest malownicze, ale równocześnie przypomina o zaniedbaniu roli. Rąk do pracy, rąk do zbiorów! Już kłos się zacznie wkrótce sypać, a w centralnej Polsce panuje przekonanie, że my — którzy jesteśmy teraz ludźmi Pomorza Zachodniego — z przyzwyczajenia tak załamujemy ręce, bo nam z tym do twarzy, bo żyjemy z tej propagandy „czynu", bez wynajdywania „środków" do jego realizacji. A tymczasem zbiór już niedługo będzie czekać na kogoś, kto się potrafi z nim załatwić.

Wiedziałem, że z tej jazdy będzie kraksa. W każdym razie nasz ciężki wóz, który nazywam „budą cyrkową" grupy operacyjnej „kinofikacji", siedzi już na szosie, z przebitą oponą. Wysiadamy na penetrację najbliższej okolicy (wieś Eberstein koło Nowogrodu), a grupa mechaników poci się nad kołem. Opodal są rozrzucone budynki gospodarcze niemieckiego „grossbauera". Dom mieszkalny pusty, rozpruty (jesteśmy już w strefie, w której przeprowadzono wysiedlenie ludności niemieckiej za Odrę). Budynki gospodarcze bez żywego inwentarza, ale ze wszystkimi maszynami nietkniętymi: elektryczne młockarnie, siewniki, dynamo. Ceprze z nieurodzajnych piasków Mazowsza i inny, z każdego kąta przeludnionej Polski, czy sądzisz, że nadarzy ci się jeszcze kiedy indziej sposobność wziąć bez trudu taki warsztat pracy, o którym nie mogłeś nawet marzyć, przywiązany do swego prostego pługa, takie szanse są niepowtarzalne. Tymczasem maszyny zardzewieją, a ty się dowiesz za późno, żeś z własnej winy stracił głupie... kilkaset tysięcy złotych.

Odwiedzamy inne gospodarstwo. Tu są już Polacy: repatrianci z robót przymusowych w Niemczech. Teraz zrzeszeni, w trzy rodziny uprawiają dziewięćdziesiąt mórg roli. Mają dziesięć krów, mają cztery konie. Naturalnie jest im chwilami ciężko, natrafiają na trudności, ale chleba i mleka w tym domu nie brak. Tęsknią trochę za swymi rodzinnymi stronami. Jedna babina wypłakuje mi nad moim dziennikarskim notesem swój tajony głuchy żal, że kiedy w 41 roku brali ją do Niemiec — jej mąż akuratnie chorował na zapalenie wyrostka robaczkowego. Jest ciekawa, co się z nim teraz dzieje. Odpowiadam: — Zapalenie wyrostka robaczkowego absolutnie nie może trwać od 41 do 45 roku. Mąż wasz, obywatelko, prawdopodobnie wyzdrowiał, czego mu szczerze życzę (może teraz dla odmiany przechodzi „różę" — dodaję sobie w duchu). Nie jest to specjalnie pożądany element na „pionierkę" w pampasach naszego Far West. Osiedleńcy nie chcą podać swych nazwisk, wieku, stanu inwentarza, nie dowierzają, że tu chodzi o reportaż do prasy. Podejrzewają raczej izbę skarbową. Wreszcie od nich te wiadomości wyłudzam, ale niech się stanie zadość ich życzeniom, niech pożostaną anonimowi.

Jedziemy dalej — ku naszej „ziemi obiecanej" — Szczecinowi, który był już w naszej garści i wymknął się z niej, a teraz znowu spoczywa w niej pewnie i ostatecznie. Krótko mówiąc, został oficjalnie w porozumieniu z władzami okupacyjnymi Anglii i Stanów Zjednoczonych przekazany przez marsz. Żukowa polskiej administracji. Celem mojej jazdy jest zorganizowanie placówki prasowej na nowym terenie.

Jedziemy środkiem asfaltowej szosy. W kierunku wschodnim posuwa się karawana ciężko ładownych samochodów i zaprzęgów wojskowych — jest to demobil armii radzieckiej, która powraca po latach boju do ojczyzny. Na zachód zaś, za Odrę, ciągnie pieszy korowód wysiedlonych Niemców. Trudno w zmęczonych twarzach, w ciężkim kroku włóczęgów dopatrzyć się buty dawnego „Herrenvolku". Na ręcznych wózkach i na wózkach dziecinnych holują swój dobytek do spokojnego brzegu — starcy, kobiety, dzieci — ojcowie, żony, córki — masowych morderców, lub obojętnych, sterroryzowanych przez reżim, za który muszą teraz ponosić odpowiedzialność. Nazywam Niemców „narodem na kółkach".

Przejeżdżamy przez miejscowości w zielonych chmurach ogrodów. Śródmieścia prawie wszędzie wypalone. W miarę zbliżania się do delty Odry widać coraz wyraźniejsze stygmaty ciężkich walk; pogruchotane domy, powalone słupy telefoniczne, połamane lasy — jakby wyczesane z czubów potężnym grzebieniem „katiuszy". Na drodze ciasno od wozów. Następuje 32-kilometrowy objazd, bo wszystkie gigantyczne betonowe mosty na Odrze cofający się wróg wysadził w powietrze. Wgłębiamy się w miasto.

Szczecin, dotknięty również mocno w swoim centrum, tak przez „dywanowe" bombardowanie aliantów, jak i późniejsze działania — to miasto o poważnej, trochę zanadto ornamentacyjnej architekturze fin de siècle'u XIX wieku, z której wystrzelają nowoczesne budynki użytkowe ostatnich lat przedwojennych. Do takich np. należy „pałac prasy" — „Pommersche Zeitung", — a w niedalekiej przyszłości siedziba „Czytelnika" z jego agendami. Zamczystą architekturę brandenburską reprezentuje znowu gmach tzw. „Hakaten-terasse", siedziba pełnomocnika rządu. Roztacza się stamtąd szeroki widok na przeciwległy brzeg miasta, poprzez koryto rzeki, — wyciągnięty długi pas fabryk, doków, żurawiów.

Miastem wstrząsają jeszcze detonacje rozładowywanych min. Po ulicach w roli spokojnych, ustabilizowanych mieszczuchów, uwijają się Niemcy, ci osiadli, i ci, którzy chwilowo znaleźli tu azyl pod opiekuńczymi skrzydłami burmistrza; niestety zawiódł ich i musiał teraz ze sztabem swych współpracowników z miasta uchodzić. Grupa Polaków rośnie z godziny na godzinę. Szczecin przyciąga jak magnes. Ci przyszli budowniczy mierzą ostrym spojrzeniem trochę zdekompletowane zarysy pryncypalnych ulic, stawiają w myślach potrzebne im budynki, planują, i miejmy nadzieję — nie ma już wśród nich rycerzy worka szabrowniczego. Worek byłby zresztą skrupulatnie przetrząśnięty na rogatkach miasta. Amatorzy tak pojętej turystyki spóźnili się o dwa miesiące. Natomiast warunki dla normalnego życia osiadłego, na znalezienie „przyzwoitego dachu nad głową" w kulturalnych warunkach mieszkaniowych — są. I będą coraz lepsze w miarę usuwania się Niemców, co powinno wkrótce nastąpić. Problem — to całkowite uruchomienie elektrowni, gazowni, wodociągów, stworzenie warunków dogodnego transportu kolejowego, gdyż miasto dotąd jest połączone z Poznaniem tylko od stacji Scheune, odległej o kilka kilometrów od centrum, wreszcie rozwiązanie kwestii aprowizacji. Całkowicie pomyślny obrót wszelkich spraw gospodarczych miasta może nastąpić dopiero wówczas, gdy jego zachodni kraniec będzie opancerzony od strony granicy przynajmniej dziesięciokilometrowym pasem zaplecza i gdy Świnioujście — port, pozostający na razie w rękach wojsk radzieckich — będzie otwarty dla żeglugi towarowej i pasażerskiej. Starania czynników rządowych idą w tym kierunku.

To, co na razie można zrobić — to wymieść dom i zabrać się do jego urządzania. Dosłownie „wymiatać" może będą ci, którzy innym do niedawna to czynić kazali, a my się zajmiemy ustawianiem sprzętów. Zaorać ziemie, która jest nie tylko „obiecaną", ale i „obiecującą". Niech mi będzie wolno w imieniu prezydenta miasta inż. Zaremby banalnym ruchem ręki — chętnych do tego zaprosić.

ZBIGNIEW PRZYGÓRSKI

Przeciw potędze ciemnoty

Artykuł Mieczysława Jastruna pt. „Potęga ciemnoty", zamieszczony w nr 29 „Odrodzenia", należy do kategorii tych wypowiedzeń publicystycznych, które muszą wywołać polemikę.

Streszczenie artykułu Jastruna brzmi następująco: za wymordowanie z górą trzech milionów Żydów w Polsce odpowiedzialność ponosi narówni z hitlerowskim okupantem całe bez mała społeczeństwo polskie.

Ten śmiały akt oskarżenia, pierwszy i jedyny dotychczas w publicystyce odrodzonej Polski, wymaga bliższej analizy. Na czym autor opiera swoje twierdzenie?

Oto w r. 1942 w czasie wywożenia Żydów z ghetta warszawskiego i w r. 1943 w czasie palenia ciał żydowskich w Warszawie udało mu się podsłyszeć kilka słów, które urobiły w nim przekonanie, że społeczeństwo polskie nie dość współczuje narodowi żydowskiemu w jego gehennie. Oto dalej kilka młodych zhitleryzowanych (a może nawet kochanek gestapowców...) biuralistek wybiegło na taras gmachu żoliborskiego patrzeć „jak smażą się kotlety z Żydów".

I to wszystko.

Trzeba wyrazić uznanie dla kunsztu pisarskiego Jastruna, który z tak ubogich przesłanek potrafił skrzesać bojowy artykuł, potępiający w czambuł całe bez mała społeczeństwo polskie za jego rzekomo wrogie czy obojętne stanowisko w momencie tępienia Żydów.

Spóźnione o trzy lata pretensje Jastruna do społeczeństwa polskiego, a przede wszystkim do inteligencji polskiej o brak solidarności i czynnej postawy wobec inkwizycji hitlerowskiej nasuwają niedyskretne pytania, gdzie był w owym czasie autor artykułu pt. „Potęga ciemnoty" i dlaczego nie zareagował czynnie na prześladowania Żydów? Można przyjąć za pewnik, że gdyby ośmielił się wówczas tylko palcem w bucie kiwnąć, to lista straconych poetów polskich wzbogaciłaby się o jeszcze jedno nazwisko.

Z tych samych powodów, dla których autor nie położył głowy pod topór kata hitlerowskiego, społeczeństwo polskie, niezależnie od swych sympatyj czy antypatyj względem Żydów, zachowało postawę raczej bierną, bo innej zachować nie mogło.

Powstanie ghetta warszawskiego, mimo że przybrało rozmiary prawdziwej wojny z czołgami, samolotami i artylerią, w której duch żydowski wspiął się na wyżyny bohaterstwa, było przecie tylko aktem samoobrony żydowskiej i nie mogło stać się hasłem do ogólnopolskiego powstania przeciw hitleryzmowi, gdyż takie nie było jeszcze zorganizowane, a wszelka niezorganizowana odsiecz pociągnęłaby za sobą w skutkach jeszcze krwawszą i bezwzględniejszą masakrę. Autor przypuszcza, że zdecydowanie wroga postawa rodaków zmniejszyłaby rozmiary „mokrej roboty" hitlerowców. Śmiem wątpić, czy jakakolwiek siła nie tylko w kraju, ale i z zewnątrz byłaby w stanie wpłynąć na zmianę decyzji szaleńca, który mimo zachwiania się na wschodzie rozporządzał jeszcze kolosalną potęgą militarną i mógł sobie pozwolić na każdą samowolę w kraju okupowanym. Widzieliśmy, że powstanie sierpniowe w 1944 roku, będące już akcją zbrojną, zorganizowaną w stokroć korzystniejszych warunkach, bo w przeddzień załamania się Niemców na linii Wisły, zostało krwawo zduszone. Obserwowaliśmy, jaki gigantyczny wysiłek militarny dać musiała ze siebie taka potęga, jak Związek Radziecki, zanim przesunęła linię frontu znad Wołgi po Odrę.

Skazaniec, prowadzony na szafot, chętnie oddaje się do ostatniej chwili złudnej nadziei ocalenia, mającego nadejść z zewnątrz. Nadzieja ta jest tym większa, im większe jest przekonanie skazańca, że ma ponieść karę za winy niepopełnione. Naród żydowski przy swym zmyśle rzeczywistości posiada w swej psychice dziwny pierwiastek mistycyzmu, który zaciera mu właściwy obraz położenia i każe oddawać się nieuzasadnionym złudzeniom. Złudzenia te datują się nie od roku 1939 ani 1941, ale od znacznie wcześniejszego czasu. Przecież inkwizycja hitlerowska, dokonana na Żydach w Polsce, była poprzedzona inkwizycją w Niemczech po dojściu do władzy Hitlera. Wydarzenia ówczesne powinny były otworzyć żydowstwu oczy na zamiary i na konkretny program Hitlera w stosunku do Żydów. Jak w tamtym, tak i w tym wypadku Żydzi zaufali potędze złota, przy pomocy którego istotnie w początkach okupacji okupywali swoją względną swobodę.

Nie byłem w tym czasie w Warszawie, natomiast znam tragedię żydowską z innego terenu, mianowicie z zagłębia naftowego Gorlice—Jasło—Krosno. Kiedy pewnego letniego popołudnia 1943 roku padło w Jaśle hasło pogromu, nie widziałem na twarzach Polaków radości, ani nie słyszałem słów ironii. Twarze Polaków pokryły się tą samą bladością, jaka widniała na twarzach Żydów, a w serca polskie wkradł się ten sam rodzaj niepokoju, który napełniał serca Żydów: niepokoju tępionej zwierzyny. Wiedziano już, że Hitler postanowił zerwać pozory przyzwoitości wobec Żydów i że niebawem kolej przyjdzie na nas.

Nazajutrz i dni następnych trwała akcja zwózki Żydów z całego powiatu. Bez przerwy zajeżdżały pod olbrzymi barak auta napchane Żydami, których segregowano według płci i wieku, a następnie prowadzono długimi kolumnami na dworzec, gdzie ładowano w świniarki i wywożono na zgubę. Specjalnie ćwiczone do tej akcji kadry ukraińskiej i niemieckiej policji, jak czujne i złe cerbery, pilnowały Żydów, nie pozwalając im na jakikolwiek kontakt ze światem. A jednak przemycało się dla Żydów więzionych w barakach jedzenie, kawę, mleko dla kwilących niemowląt i wodę dla wyprania pieluszek. Mali chłopcy, korzystając z nieuwagi straży, podkradali się pod barak, drążyli w deskach dziury i podawali chleb i wodę. Jednego dnia widzieliśmy starszego wieśniaka, który podchodził w kierunku baraku z bańką mleka. W pewnej chwili padł strzał. Wieśniak, chłop polski, przypłacił śmiercią swój filosemicki zamiar. Jak się okazało później, osierocił 6-ro dzieci. W ten sam sposób zginęła wieśniaczka. Zwłoki ich leżały pod barakiem przez dwa dni dla odstraszenia dalszych śmiałków. Mimo to akcja pomocy nie ustała i była prowadzona przez łączniczki-Żydówki, zatrudnione w gestapo, a nie objęte jeszcze likwidacją.

Przez dwa blisko tygodnie nie zmrużyliśmy oka, a nerwy nasze były napięte do ostatecznych granic. Dom, w którym mieszkałem (róg ul. Mickiewicza i Jagiełły), stał opodal baraku i widziałem doskonale, jak ludność polska z narażeniem życia niosła pomoc Żydom. Kiedy przemaszerowywały kolumny Żydów przed naszym domem, a oczy konwojowanych posyłały nam ostatni żałosny wyraz pożegnania, nie słyszałem wtedy z ust Polaka żartu o kotletach, natomiast widziałem łzy w oczach kobiet polskich i zaciśnięte nienawistnie szczęki i dłonie Polaków. Taki sam wrogi stosunek do hitlerowskiego kata panował wśród polskich mieszkańców Krosna, Sanoka i Gorlic. Wyrazem uczuć nurtujących społeczeństwo polskie w owym czasie mogą być fakty, że niejeden Żyd uchował się szczęśliwie do dnia dzisiejszego w mieszkaniu Polaka, mimo że za taką „gościnę" groziła kara śmierci, i niejeden Polak przygarniał porzucone przez matkę dziecko żydowskie, które wyrośnie na obywatela, odnoszącego się z większym szacunkiem do społeczeństwa polskiego, niż ob. Jastrun. Znane mi są konkretne wypadki wśród moich przyjaciół, że wskrzeszało się zmarłych krewnych, aby ich metryki urodzenia wyzyskać dla zachowania przy życiu kilku Żydów. Tak wygląda „antysemityzm" polski i „gromadzona od wieków potęga ciemnoty".

Wytykanie społeczeństwu polskiemu rzekomej współwiny w barbarzyńskim dziele zdziesiątkowania ludności żydowskiej, przy równoczesnym tuszowaniu ogromu strat, jakie poniosło państwo polskie w swoim stanie posiadania ludnościowym, kulturalnym i majątkowym jest chwytem, który nie tylko nie łapie, ale wywołuje wprost przeciwny od zamierzonego efekt.

Bohaterstwo i męczeństwo narodu żydowskiego są aż nadto widoczne i nie potrzebują tuwimowskiego stempla zza oceanu. Odrodzona Polska uczciła pamięć poległych Żydów i co roku będzie uroczyście manifestować rocznicę wzniosłego zrywu.

Dyskusję na temat tzw. „kwestii żydowskiej" należy dzisiaj przenieść na zupełnie inną płaszczyznę. Gdyby Żydów pozostała istotnie tylko „garstka niedobitków", jak chce Jastrun, to nie było by „kwestii żydowskiej". Wstydliwe ukrywanie liczebnego stanu obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, jak również pomijanie roli żydowstwa w twórczym procesie odbudowy demokratycznej Polski, nie wpłynie dodatnio na ustosunkowanie się reakcyjnych kół polskich do Żydów ani nie ugłaska antysemitów polskich, do których nie trafia żadna siła argumentacji. Zagadnienie żydowskie, o ile sprawę tę należy podnosić do rangi zagadnienia, winno być rozpatrywane tylko w ramach ustroju społecznego.

Żyd w Polsce demokratycznej posiadł równe, należne mu prawa i z praw tych słusznie korzysta. Jest towarzyszem doli i niedoli, jest kolegą przy wspólnym warsztacie pracy, jest współtwórcą nowej Polski, w której ustroju nie ma miejsca na zagadnienia mniejszościowe, sztucznie konstruowane przez dętologię profaszystowską. Ciemnota niektórych odłamów społeczeństwa, wstecznictwo odprysków hitlerowskiej reakcji w Polsce o nastawieniu antysemickim nie wydaję się aż taką potęgą, która mogłaby zagrozić w jakikolwiek sposób zdobyczom polskiego świata demokratycznego. Żydzi niesłusznie widzą w tej reakcji straszaka, przed którym trzeba chować swe rodowody z obawy o życie. Gdyby reakcja była do tego stopnia groźna, to odbudowa Polski, zaczęta w lipcu ub. r. nie posunęłaby się ani o krok naprzód, a władze nasze musiałyby pracować anonimowo. Bowiem zbrodnicze ostrze reakcji wymierzone jest nie tylko przeciw Żydom, ale przeciw całemu obozowi demokratycznemu.

W ustroju demokratycznym antysemici zejdą do roli ostatnich Mohikanów Polski minionej, w której rozdarcie i skłócenie wewnętrzne nie pozwalało skupić uwagi na zagadnieniach istotnych dla państwa. Walka z antysemityzmem stanie się więc sprawą nieistotną.

Rząd Jedności Narodowej, gwarantujący demokracji polskiej spokojną i twórczą pracę jest dość silny, aby usunąć przesądy antysemityzmu, gdyby chciały kiedykolwiek wznowić swoją niesławną tradycję.

W poprzednim (33) numerze „Odrodzenia" z dn. 15 lipca: **Mieczysław Jastrun:** Z tysiąca deszczów. Nauka. Maj. Żywy. Dedykacja. — **Hieronim Michalski:** Z przyśpiewów zarannych. — **Jerzy Kirchmayer:** Grunwald. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (29). — **Janina Lipska:** Po obozie. — **Jerzy Putrament:** Warszawa w lecie. — **Stefan Flukowski:** Pułaski. Życie Kościuszki. — Romain Rolland i Maksym Gorkij. — **Adam Ważyk:** Artyści lubią konkretność. — **Anna Świrszczyńska:** W baraku. — **Jan Kott:** Generałowie gwardii i legenda napoleońska. — **Witold Wirpsza:** Nad egzemplarzem „Fausta" znalezionym w opuszczonym niemieckim mieszkaniu. Muzyka. — **Krzysztof Radziwiłł:** Od faszyzmu do demokracji przez obozy koncentracyjne. — **Adolf Chybiński:** O losach polskiej muzyki ludowej. — **Józef Sieradzki:** Konieczna reforma — (jf): Jubileuszowa sesja Akademii Nauk ZSRR. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedź **Juliana Przybosia.** — **Jan Kott:** Po prostu. W obronie bohatera. — **Czesław Miłosz:** Na „Fantazym". — **Artur Sandauer:** Nieco filologii. — **Jacek Frühling:** Zagadnienia krytyki teatralnej. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — Kalendarz kulturalny. — 12 stron.

JERZY PUTRAMENT

Pierwsze miesiące

Tym razem samolot nużył bardziej niż zwykle. Przywarci do małych okrągłych okienek nie wypatrywaliśmy przedziwnych pejzaży z lotu ptaka.Gdzieś tu miała być ziemia, do której wracaliśmy. Za rzeką zaczynało się to, gdzie wreszcie można się było czuć „u siebie w domu".

Kilka razy obwołaliśmy już jakiś dziwacznie powyginany strumyczek tą właśnie rzeką. Ale samolot parł obojętnie naprzód, skondensowany huk motoru dudnił w uszach, nic się nie zmieniało.

Dzień był monotonnie chmurny. Bliżej nas niż my ziemi wisiały płaskie płachty mgły. Z przodu tu i ówdzie niebieskawe refleksy pozwalały mieć nadzieję na dalekie słońce.

Wylądowaliśmy nagle. Szeroka poręba obramowana dalekim, drobniutkim sośniakiem. Ani żywej duszy! Piloci wyszli, obejrzeli się. Przestrzeń od razu wyrosła. Kilkaset metrów, które trzeba było przebyć, aby otrzymać informacje, więcej teraz ważyło w bilonie czasu niż przed chwilą kilkadziesiąt kilometrów.

Upragnionego Bugu nie dojrzeliśmy wcale. Ponowne lądowanie na porytym od wody ściernisku. Chaos szarych obłoków tu rozdzielił się na jasne słońce i ostry deszcz. Wyleźliśmy.

Oto ta chwila! Jest pierwszy sierpnia 1944 rano. Jesteśmy na bezspornej ziemi polskiej. Panuje przez chwilę wzruszone podniecenie. Ale jak zwykłe nieskładności techniczne zabijają lirykę. Trzeba zdobywać samochody, jechać do miasta, myśleć o noclegu.

Czekamy na zaimprowizowanym lotnisku. Dziesiątki maleńskich „Jaków" z nieludzkim rykiem przebiegają przed nami i wzbijają się w górę. Lecą na zachód. Gdzieś tam jest front. Gdzie — nie wiadomo. Gdzie jest PKWN, obwołany właśnie przed paru dniami?

Nadchodzi wieczór, gdy zdezolowana sanitarka wreszcie zagarnia nas i wiezie okropną, rozmokłą drogą.

Chełm w deszczu. Wielki, nieproporcjonalnie duży jak na jednopiętrowe miasteczko gmach byłej dyrekcji P. K. P. Sztandar na dachu, posterunki. PKWN-u prawie nie ma, większość jest już w Lublinie — jeżeli nie dalej, jak zastrzegają się informatorzy.

W poniemieckiej kolonii nocujemy, odstraszeni deszczem. Byłem w mieście, szukałem jedynego człowieka z Chełma, o którym się w Polsce wiedziało. Chełm o nim też słyszał — nie tyle o literacie, ile o nauczycielu gimnazjalnym. Nie wesołe są słuchy — był w Oranienburgu. Teraz gdzieś pod Chełmem. Mowa rzecz prosta o KAJU.

Następnego dnia znowu samolot, kilkanaście minut płaskiego lotu tuż nad drzewami. Lublin. Tak, to tutaj.

•

Lublin zostanie nam w oczach słoneczny. W sierpniu były upały i kurz. Chodziliśmy po mieście huczącym od samochodów. Za potężnymi Studebakerami dreptały jak jamniczki działka przeciwpancerne, albo potoczyście kłusowały garbate, opatulone w brezenty zenitki.. Kurz z szos podmiejskich wlókł się za nami aż tutaj, do środka, do skwerków Krakowskiego. Przelatywały urywki piosenek, i zanim się je dosłyszało, już rozśpiewane gromady mijały zakręt, chwiały się w pudle ciężarówki, nikły. Wszystko parło na zachód.

To był nasz świat, świat ruchu, świat wojny i dróg wojennych. Znaliśmy go z pustyni pod Wiaźmą, z jesieni smoleńskiej, z żytomierskiego przedwiośnia i podłuckiego czerwca. Rzucał się w oczy, rozpychał pędem i hałasem starożytne uliczki, przesłaniał ten inny, ten nieznany, upragniony i najciekawszy świat, do którego wracaliśmy.

Jakie niezwykłe uczucia! Chodziłem, patrzyłem. Nawet twarze, nawet wyraz oczu spotkanych był inny, niepodobny, niespodziewany. Ojczyzna była nie taka jaką odbudowaliśmy ze wspomnień, a jeszcze bardziej z pragnień. Liczyłem, że zaskoczy, przypuszczałem konieczność współczynnika omyłki. Ale zaskoczenie było inne i współczynnik zawodził.

Oni też byli zaskoczeni — bardziej niż my, bo fałszywie obliczali i błędnie myśleli. Z innej strony oczekiwali zbawienia. I rozpiętość — normalna — między utęsknieniem i spełnieniem, wyrastała dla nich do wielkości problemu.

Czasem konfrontacja kończyła się tragicznie — zwłaszcza dla marzycieli. Mój dobry przyjaciel o przeczulonych uczuciach, o tym intensywniejszym, że hamowanym popędzie do marzeń, wrócił do miasteczka, gdzie skończył szkołę, porozmawiał z dawnymi kolegami — i palnął sobie w łeb. Nie docenił Niemców i ich sztuki odczłowieczania ludzi.

Nie miał racji. Jego miłość była zbyt kategoryczna, zbyt wymagająca. Miłość do kraju ojczystego jeśli jest prawdziwa, jest zarazem fatalna, nie do odwrócenia, jak każda miłość. Kocha się nie za zalety. I jedyna odpowiedź, jeśli się ujrzy zło, — zaciąć zęby, a nie — za karę! — potępiać, uciekać.

Zresztą, na początku — nie było czasu na oglądanie i rozmyślanie. Dni galopowały, oszołamiając rozmachem. Trudno było by znaleźć chwilę na uogólnienia. I trudno przypominać szczegóły. Gdy teraz — zaledwie po roku — zamykam oczy, aby przypomnieć — jeden obraz zostaje: rozpalone słońce sierpniowe, niebo czyste, niebieskie, na horyzoncie już po jesiennemu przybladłe, — i gdzieś bardzo wysoko, niewidoczny, jeden samolot. Jego warkot ściszony, to znów wybuchający rozpędem, dudnił nieodstępnie nad nami.

Wieczorami ten jeden szedł spać. Nadchodziła pora nocnych wizyt zza Wisły. Pamiętałem potworne, majowe naloty w Równem, pamiętałem jeden — ale jaki! — w lipcu, w Wilnie, gdzie cała dzielnica za dworcem legła w gruzach! I za każdym razem myślałem — czy to już? Nie wątpiłem, że musi nadejść — jak to, siedziba rządu, węzeł kolejowy, o czterdzieści kilometrów od frontu. Czerwone rozbłyski zenitek z nad horyzontu zaczynały rosnąć do szczytu gwiaździstego nieba. Odzywały się cekaemy przeciwlotnicze, piękne zielone, czerwone i białe pociski świetlne powoli lazły pod górę i gdzieś tam gasły, jaskrawo pryskając. Ale tylko raz to preludium doszło do „świec", dwie lub trzy zapłonęły martwo i uparcie gdzieś w stronie dworca. I tym razem zresztą, bez dalszego ciągu, bez bomb.

•

Dziwne to były czasy. Nawałnica, która zmiotła front niemiecki pięć tygodni temu nad Dnieprem, dotarła teraz do Wisły. Na zachodzie wyłaniała się z burzy wolna Francja. Nie szybko zrozumieliśmy związek między tymi dwoma frontami. Był czas, gdy zdawało się, że to już koniec, że Niemcy padają. Pierwszy miesiąc w Lublinie siedzieliśmy na walizkach.

Stopniowo komunikaty ze wschodu stawały się krótsze. Północne skrzydło niemieckie, nie rozbite, zatykało wyrwę na Biebrzy i Narwi. Odwody z zachodu obsadzały Wisłę. Przez kilka dni wydawało się, że pod Sandomierzem rozwinie się nowy skok na zachód, patrole sowieckie docierały pod Kielce, przychodzili stamtąd partyzanci i opowiadali o piekle na przeprawach wiślanych. Nie, nie wyszło.

A w Warszawie szalało powstanie. Mętne słuchy przesiąkały do nas, łapano urywki audycji, wierzono i nie wierzono. Przyjeżdżali z Otwocka, mówili o walkach gdzieś na północ. Ponury cień wisiał nad stolicą. Radio huczało uwolnionym Paryżem i płonącą Warszawą. Był, był związek tragiczny między losami tych miast. Niemcy po to tak tanio oddali Paryż, by się uczepić Warszawy i Wisły. Ale wtedy nie widziało się tego tak jasno. I nie wiedziano, nie domyślano się, jakim piekłem się staje stolica.

•

Przez pierwsze pół roku Polski jej sercem był Lublin. Przez pierwszych parę tygodni sercem Lublina była ulica Spokojna. Trzypiętrowy, nie większy od przeciętnego gimnazjum dom. Tam było wszystko — cały rząd — czyli po ówczesnemu „Pekawuen", wszystkie „resorty" — czyli ministerstwa, wszyscy „kierownicy resortów" — czyli ministrowie. I jeszcze szereg innych urzędów.

Bardzo osobliwie to wyglądało. Ministerstwo Kultury i Sztuki mieściło się np. w dwóch pokoikach. Rozrost aparatu odbywał się w niesłychanym tempie. Są takie stadia w rozwoju embrionu, gdy komórki dzielą się po kilka razy na minutę. Z resortów wyłaniały się wydziały, z wydziałów referaty, z referatów sekcje. Improwizowano na skalę dotąd niespotykaną. Potok zwykłych ludzi wdzierał się przez drzwi, jeszcze bez przepustek, na chybił trafił — a wychodzili stamtąd już stateczni urzędnicy.

Naprzeciwko był maleńki domek z fantazyjną facjatką w pięknym mikroskopijnym parku. Na parterze mieściła się pierwsza i długo, długo jedyna stołówka. Stało tu parę stołów i wisiały jelenie rogi. Stoły były barometrem ciśnienia organizacyjnego. Zrazu były pustawe. Po tygodniu tłumy czekających wydeptały porządne trawniki, rozbiegały się po okolicznych posesjach, szabrując krzesła, awanturowały się, kłóciły, dopominały o jedzenie. Rogi — te były dla ozdoby. Ale pewnego pięknego dnia spadły nagle na głowę pewnej pracowniczce redakcyjnej, która odcierpiała to dłuższą chorobą.

Do stołówki szedł każdy kto chciał. Pilot z samolotu łącznikowego i minister, szofer i dyrektor departamentu. Ostatni stół miał reputację „ministerialnego". Ale i tam siadali wszyscy. Jedynym zresztą przywilejem tego stołu było, że teoretycznie otrzymywało się tu posiłek poza kolejką. Wielokrotne próby wprowadzenia przepustek upadały z zadziwiającą regularnością.

Mieszkaliśmy w sześciu w jednym pokoju obok domku stołówki. Miało się łóżko i krzesło — i to był dom. Część z nas pracowała w nocy, część w dzień. Niemal ani na chwilę w pokoju nie było ciszy. Jeden wstawał, drugi kładł się. Olbrzymie oszklone drzwi prowadziły do parczku. Nie sposób je było zasłonić i podczas nocnych alarmów po prostu gasiło się światło. Za drzwiami piętrzył się kolosalny stos butelek od win, wypitych — niestety, niestety — przez Niemców.

Nie było swego domu, człowiek też był nieswój — dosłownie. Osobiste życie sprowadzało się do wizyty u fryzjera. Na obiadach i śniadaniach przeżuwano na deser resztki spraw redakcyjnych. Na kolacjach — marzono: trzeba by to, trzeba by tamto. I chyba nigdy nie było tak blisko od marzenia do realizacji. Ktoś z nutką rozmarzenia bąknął kiedyś: gdyby znaleźć jakiegoś Kuryluka, niechby robił pismo. I rzeczywiście...

•

Może najsilniejszym moim przeżyciem w Lublinie było poczucie rozrastania się środowiska literackiego. Przeszło trzy lata w Rosji bytowaliśmy w trójkę czy piątkę. Grandilokwentny Pasternak w łaciatym, biało-burym kożuszku, Ważyk w czapie futrzanej osobliwego kroju i ja — oto było wszystko. O innych słyszało się tu i ówdzie. Przed rokiem odnalazł się Szenwald (zginął właśnie wtedy w Lublinie). Bardzo przykre jest uczucie takiego zawodowego osamotnienia. Dlatego w pierwszy słotny wieczór na ojczyźnie tak uporczywie acz bezskutecznie błądziłem w Chełmie, szukając nieznajomego Kaja.

W Lublinie pierwszym uczuciem była rozpacz. Jakto, czyżby zginęli wszyscy? Ani jednego ze znanych, znajomych przez pierwsze dni kilkanaście. W połowie sierpnia daliśmy ogłoszenie: tam a tam odbędzie się zebranie literatów, prosimy itd.

Z drżeniem serca czekałem na gości. Przyszło kilkunastu. Nikogo z nich nie znałem. Z listy obecności dowiedziałem się, że jest na sali K. A. Jaworski. Reszta to była młodzież. Pogadano trochę. Rozeszli się.

Potem zwolna zaczęli się schodzić i zjeżdżać. Znalazł się, tylokrotnie opłakany w Rosji przez nas z Pasternakiem na czele, Stanisław Jerzy Leć. Robił z siebie bardzo dużego partyzanta: używał co chwila terminów specjalnych — pepesza i bimber. Zjawił się inny partyzant — też dwojga imion i męsko się rymujący Jan Aleksander Król. Był młodszy niż przed dziesięciu laty. Zresztą jego wizyta w literaturze była krótka: wystąpił parokrotnie z radykalnymi projektami, aby pisarze terminowali w charakterze ślusarzy i chłopców do pasania bydła (Trzeba poznać życie wsi i miasta! Dość mieszczańskiego bytowania w kawiarniach!), po czym założył czasopismo „Wieś" i został żywcem połknięty przez wielką politykę.

Gdzieś spod Warszawy przyjechał bardziej zamyślony niż dżad Jastrun. Pewnego dnia zjawił się w jakimś obskurnym płaszczu gumowym Minkiewicz. Był zdetonowany przez tydzień. Potem spoił paru dziennikarzy. Potem spoił najlepszego (po Sławoju) ginekologa wśród literatów. Potem spoił autora niniejszego. Życie zaczęło się krystalizować.

Od połowy sierpnia zaczęły krążyć mętne słuchy, że odkryto Przybosia. Opowiadano jednak tak wstrząsające szczegóły, że nie wierzyłem. Rzekomo twórca nowej poezji był szefem propagandy i informacji w utworzonym ad hoc województwie rzeszowskim. Uświadomiłem wtedy jeszcze silniej okropności wojenne. Jak to — on daleki od brutalności życia — w propagandzie? Biedny Przyboś. Biedna, biedna informacja i propaganda.

Rzeczywistość całkowicie potwierdziła te pogłoski. Co więcej, gdy pojechałem do Rzeszowa, by (m. in.) ratować polską poezję i propagandę — napotkałem na zacięty opór ambitnych władz miejscowych, które rozkochały się w swoim szefie propagandy i słyszeć nie chciały o zwolnieniu go z obowiązków. Jak Lublin był wtedy p. o. Warszawy, tak Rzeszów był p. o. Krakowa. Najwyżsi dostojnicy rzeszowscy — ob. ob. Drobner i Skrzeszewski wyciągnęli nawet wytarty ikacowski argu-

JERZY KAMIL WEINTRAUB

WIERSZE

We wrześniu 1943 r. zmarł w Warszawie ciekawie zapowiadający się poeta Jerzy Kamil Weintraub. Urodził się w Leningradzie w 1916 r., dzieciństwo spędził w Danii, poczem przyjechał do Warszawy, gdzie ukończył gimnazjum i studiował na uniwersytecie.

Dwa wydane przed wojną tomiki „Próba powrotu" i „Wrogi czas" nie odbiegały ani treścią, ani formą od zbiorów wierszy innych poetów tych czasów. Sam poeta zdaje sobie zresztą sprawę z tego, pisząc: „W owym okresie żyłem cierpieniami i tryumfami walczącego proletariatu, nie mając po prostu czasu na znalezienie własnego wyrazu twórczości".

Plon pozostawiony przez zmarłego, który w ciężkich warunkach pracował i tworzył, jest dużej jakości i domaga się ujawnienia.

„Podziwiam własną niepożytość wewnętrzną, którą jeden los zapłodnił na dwa lata" — pisał przebywający na wsi w r. 1941 poeta i nie ma w tych słowach przesady.

„Śpiew pod łuną", który powstał w 1940 r., daje pełny obraz wewnętrznych przemian i rozwoju tak dobrze zapowiadającego się talentu.

„Szukanie dróg — spowiada się poeta — zmierza do najlepszego utworu, jaki dotychczas napisałem — do autobiograficznego poematu „Śpiew pod łuną", w którym zamknąłem wszystkie niemal okresy mego życia, przez które przewija się zwycięska muzyka przyszłości, opromieniająca zwycięską łuną spiżowe mauzoleum Lenina".

Edward Kozikowski

Szczątek marmuru

Nie nadaremnie drążąc dno potoku,
odnalazł promień marmurowy szczątek
i jego odblask rzucił w twój niepokój,
by dać ci ciszę, z której duch pamiątek,
tak drogich sercu, wieje bezustannie,
świadcząc o pięknie, które w trwaniu rzeźbi
i byś się wsłuchał w śpiewne przemijanie
tonów piszczałek, które uwił z wierzbin
pasterz Arkadii.
Tak zbłąkany domysł
napróżno tropi tego, co swą miłość
wykuwał dłutem, gdy zostały złomy
marzenia jeno, które się rozbiło,
na myśl czekając, co je znowu spoi.

I ciebie kiedyś srogi czas pokona
i ciemne fale niepamięci twojej
zamąci wiatr, jak trójząb Posejdona,
by znowu w ciszy, którą promień przebił,
nieznane oko pochwyciło odblask
szczątków tej drogi, którąś żmudnie przebył,
a którąś w brzasie swojej myśli odlał.

Tak wiele mija, ale trwają o n i,
i wzrok się cieszy, kiedy w nich spoczywa:
tak wśród obłoków napina się w dłoni
rozsłoneczniona Apolla cięciwa,
tak pośród borów róg myśliwski dzwoni
i sfora chartów ciemny gęszcz przeszywa,
które Artemis wiedzie zamyślona,
śmierć niosąc słodką sercu Akteona.

Szczątek marmuru. O! on mówi trwalej,
niżeli człowiek, który się wypali,
spalając drugich. Zbrodni, która niszczy
w nagrodę pomnik krótkotrwały: zgliszcza.
Lecz marmur chwały, który czas pokruszy
i biel którego błyśnie po pożodze,
znowu się spoi w szukającej duszy
błogosławioną wiecznością odrodzeń.

16 maj 1943.

Śpiew pod łuną

VIII.

Po niebie zachodnim pierzchły
wspomnienia lekkie obłoki,
gdy na peronie o zmierzchu
żegnałem Tatry wysokie.

O sprzymierzeńcy marzenia,
paliła mnie łza pod powieką,
to przecież w waszym pierścieniu
mogłem oddychać tak lekko.

Niełatwo było mi uciec
w ów zmierzch odlany ze stali,
gdy wyciem pijanych górali
płynęło wojny przeczucie.

Raz jeszcze oczom zamglonym
błysł granitowy wasz pochód,
a już wstrząsnęła peronem
mobilizacja popłochu.

Niech wicher halny mnie smaga,
jeśli zobaczę was znowu,
niech wzejdzie szkarłatna flaga
nad ziemię granitową!

Radośniej wtedy was zwołam
niż wówczas, ciemna ojczyzno,
gdy nad załamanym twym czołem
zawisła chmura faszyzmu.

Poeta

O ty nieszczęsne okno na wszechświat,
za którym świerszcze gwiazd poświerkują.
Zaledwie zwid twój się ucieleśnia,
A już nie możesz w życie go ująć.

Komu ty, powiedz, pamięć przekażesz.
Jaką ty maskę przed światem wdziejesz.
By przez swych spojrzeń patrząc witraże
ponieśli ciebie przez własne dzieje?

Jakim nakażesz przemawiać głosom,
aby twe krótkie życie przerosły?
Czy będziesz obłok, czy będziesz posąg
o sercu kornym, z czołem wyniosłym.

Bo jeśli posąg, kamień trwający,
o który tłum się codzień rozpryska
co z sercem poczniesz, co głaz potrąca,
niby kwiląca więźnia kołyska?

A jeśli obłok, który się zniży,
by spraw człowieczych podążyć tropem,
bacz na swe słowa, co płyną wyżej,
bo tłum cię zdepcze kamiennostopy.

Chyba, że jako promień drapieżny
ogniem przepalisz ziemię cmentarną,
by zmartwychwstało z prochu i mierzwy
kiełkiem strzelistym snów twoich ziarno.

A kto się zbudzi, ogień pochwali,
a którzy zginą, ogień podsycą,
ty jeden tylko podążysz dalej
z zakotwiczoną w wichrach źrenicą.

5 wrzesień 1943.

ment: że Warszawa zawsze lubiła ogałacać prowincję z wybitnych jednostek. Zrozpaczeni planowaliśmy inscenizację porwania.

Pierwszego września zrobiliśmy pierwsze walne zebranie literatów polskich. Było to bardzo żałosne widowisko. Obecnych było koło pięćdziesięciu osób. Ale z tego — dawnych, przedwojennych członków ZZLP naliczyliśmy raptem pięciu czy sześciu. Organizacja za to dopisała: wszystko odbywało się sprężyście, zgodnie z rytuałem, który się właśnie ustalał: rozpoczęto od licznych powitań, by niepostrzeżenie przejść do pożegnań. Debiutował właśnie wtedy departament literatury przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, pod wprawnym kierownictwem Leona Pasternaka, szefa departamentu ad interim. Ten to departament odkrył pewnego chłopskiego poetę, który nas uraczył zdumiewającym spiczem. Trudno było wypośrodkować o co mu chodziło, ale ogólne wrażenie było wstrząsające.

Zebranie odbyło się w stołówce domu „Czytelnika" jeszcze nienazwanej, wykluwającej się dopiero instytucji, której złowieszczy wpływ na literaturę trudno było podówczas przewidzieć. Wtedy jeszcze była to placówka sielsko-anielska, jedyna, która naprawdę i doraźnie opiekowała się bracią piszącą, malującą itd. Każdy przyjeżdżający w te pędy udawał się na Radziwiłłowską 9. Dostawał tam jedzenie, lokował się na jakimś łóżku i trwał dla dobra polskiej kultury na tym posterunku.

Domek za Niemców był klubem urzędniczym. Na górze w kilku pokojach mieszkało wszystko cenne dla literatury, które wtedy znalazło się w Lublinie. Jeden z pokojów wystylizował się na Uniłowskiego. Obyczaje tego pokoju cechowała pewna surowość, nieodłączna od czasów wojennych. Tam to pewien wybitny poeta, chorujący od tygodnia na grypę przeżył dziwną kurację: upił się na leżąco, w łóżku, przynaglany krzykami rozbestwionej tłuszczy i leżał cichutko się śmiejąc, podczas gdy na środku pokoju szalała gorąca debata literacka.

Nie wszyscy przyjeżdżali do tego przytułku z pustymi rękoma. Byli i tacy, którzy czym mogli, wspomagali dom na Radziwiłłowskiej. Epokę stanowiło przybycie trzeciego z partyzantów, najzacieklejszego. Józef Ożga-Michalski, zdumiewająco jasnowłosy i -oki, jeden z watażków kieleckich, przywiózł kiedyś królewski dar: olbrzymią oplataną wikliną butlę z 50 litrami zdobycznego, niemieckiego spirytusu. Wtedy siła magnetyczna domu doszła do zenitu.

Różny był koloryt odnajdywania się. O Parandowskim pierwszą wieść przyniósł obecny burmistrz Cieszyna. Nasz olimpijczyk znalazł się w piwnicy spalonego dworku na kielecczyźnie, w „noman's land'zie", gdzieś pod Iwaniskami. Był tam z żoną i dwojgiem dzieci, oczekując właśnie na trzecie. W piwnicy od kilku tygodni kryło się czterdzieści osób.

Zarządzono ekspedycję ratunkową, która go odnalazła już w Dzikowie, w znośnych warunkach. W parę miesięcy później ulokowano go w domu, który literaci dostali z reformy rolnej pod Lublinem. Był natchnieniem bujnego życia towarzyskiego, które tam właśnie rozkwitło.

Boguszewska i Kornacki przyszli w doskonałej formie spod Warszawy i od razu rzucili się do realizacji kilkunastu naraz pomysłów organizacyjnych i twórczych.

Dowiedziawszy się, że Burek i Piętak przebywają w swojej ojcowiźnie — pojechaliśmy tam z Kurylukiem któregoś zimnego poranka październikowego. Sandomierz był przepiękny w słońcu i czerwieni sadów.

Burka znaleźliśmy na szczycie wzgórza, już prawie za miastem, w domu naprzeciw spalonego kościoła.

Wracaliśmy. Spalone przedmieścia i stacja za Wisłą. W południe Niemcy zaczęli leniwie ostrzeliwać stację z jednego, zaspanego moździerza. Coś, jakby pociąg furczało w powietrzu, po czym chwila ciszy i huk.

Oto i słynna Wielowieś, ojczyzna autora „Nocy białowieskich". Wpadamy do małej chałupinki i łapiemy Piętaka in flagranti — siedzi na środku izby i pisze, otoczony kupami rękopisów. Nic się nie zdziwił, jakby nie było tych sześciu latek. Wpakowaliśmy go mimo oporu do „Willysa" i jazda. Po drodze zgubił kapelusz.

•

Minął sierpień. Jesienią rankami słychać było dudnienie artylerii nad Wisłą. W połowie września znowu przeżyliśmy gorączkowe chwile — szturm Pragi, zaraz będzie Warszawa. 17-go byłem na Pradze. Tuż za Lublinem, o sto dwadzieścia kilometrów od Warszawy widzieliśmy mętną, ciemnogranatową chmurę dymu nad stolicą. Praga dygotała od wybuchów. W rozharatanym Aninie ludzie wyłazili z piwnic. Za Wisłą płonęło kilka dzielnic. Niemcy bronili się nad rzeką.

Lato niepostrzeżenie wygasło w październikowych, słonecznych południach, w listopadowych przymrozkach. Front stał, nieruchomy, spokojniejszy niż w lecie. Śnieg parokrotnie próbował zamaskować ziemię. Ta cisza wróżyła burzę, burzę zahamowaną wtedy na Wiśle. Teraz...

Jerzy Putrament

HANNA MALEWSKA

Arkan*)

Barbara Gasztołdowa w chłodniku zażywała wczasu, leniwa jako to była, nie dotykając się w ogrodzie niczego. Przeciwnie pani matka, śpiesząc ku niej co rusz mimo upału i tuszy schylała się, to wyrwać chwast, to jagody zmacać na krzaku, a pan podczaszy kroczył wprawdzie obok niej statecznie z założonymi w tył rękami, ale głową ryżą pracował mocno, co zresztą nie było mu nowiną.

Wstąpili wreszcie pod pleciony dach chmielowy. Patrzyli na nią, jak siedziała w luźnym sarafanie, z przymkniętymi oczyma, pozłocona cokolwiek na licu letnim słońcem i z włosami pozłoconymi. Aż brat zagadnął z nagła:

— Jakże? Rozkochan? Po staremu?

Zwolna podniosła powieki, obróciła na niego źrenice:

— Aj, rozkochan.

Pszczoła bzyknęła i podczaszy przepędził ją czapką. Otarł czoło.

— Czemu mnie pytacie? — rzekła jeszcze, a oczy jej uczyniły się duże i przejrzyste.

— Chciałem wiedzieć. Ale wy się już tam o nic nie sumujcie. Niech tylko tak będzie, jako jest.

Pani matka nie rzekła nic, tylko włożyła sama na czoło Barbary duży, chłopski kapelusz ze słomy, który z sobą przyniosła: słońce przezierało przez chmiel, a Barbara na cienkiej, białej skórze miewała czasem piegi.

Po pogrzebie królowej Helżbiety uczyniono furtkę w zamku królewskim na rzekę.

Po prawdzie nie wiedzieć gwoli komu były te sekrety. Królowa nie żyła. A Radziwiłłowie bracia prawie że się z królem nie rozstawali, i w radzie, i na łowach.

Aż mu bywało nieswojo od tych mądrych oczu, od tych rad dobrych we wszystkich sprawach. A to — pieniędzy szczędzić: „Owa, u kogo rubli u tego rozumu, a ubogi kiep, jako dawniej" — mawiał marszałek. Tylko dla nich nie szczędzić... Albo: strzec się tych mędrców kanclerzów koronnych, co to w koło uniej z Litwą czynią. — Z wielkich tylko głów wielkie błędy!... — Tylko ich głowy nieomylne.

Wszyscy tu w koło srodze wąsiskami ruszali na tę komitywę zupełną. Ale któż tu może cokolwiek wiedzieć? Cóż ich dziesięć ojcowskich rad, przy jednym jej uścisku?

Mimo to godziny samotne króla stały się z czasem ciężkie i utrapione. Czuł węzeł, węzeł stokroć silniejszy, niż wszystkie dawne, zaciskający się powoli — lecz nieuchronnie, jak arkan tatarski. I płoszył się jak koń chwytany, chociaż przecie był to węzeł serdeczny.

Ponadto niedawno był w Krakowie i widział ojca. Jeżeli kogoś na świecie czcił, to tylko starego króla. Nie trzeba nawet myśleć, co by on rzekł, gdyby do Wawelu doleciało echo wileńskich maskaradowych okrzyków. A szlachta? Dopierożby się namnożyło nowych Katonów we wszelkim prawie życie królewskie przezierać. Zygmunt August nie był już młodzikiem. Jego umysł sprawny, lecz przywykły przemykać się tylko po wszystkim — teraz zmuszony był co dzień zatrzymywać się przed nieugiętą, na wpół dopiero znaną przeszkodą i mierzyć ją na oko.

Marszałek z podczaszym bywali coraz śmielsi i usłużniejsi. A w ogrodach Radziwiłłowskich, w tych cudownych, ukradzionych godzinach, kiedy nie brakowało im niczego na świecie, pojawiła się od dawna niewidziana pani matka.

Nie było mu też lubo, opuszczając nocą dworzec Radziwiłłów, napotkać gromadę młodych towarzyszów swoich powracających z zabawy gdzieś w ormiańskim, czy żydowskim zaułku.

A puszcze już od dawna zazieleniły się wiosennie. I najstarsze dęby, których świat skamieniały z trudem ssał żyzne soki z podłoża, zrzuciły nareszcie burą suknię zimową i odziały się w świecący, ciemny, młody liść.

Król puścił się aż w Zielonkę knieję, na trzy dni, albo i na dłużej, ze swą zwykłą łowiecką kompanią i z dojeżdżaczami. I drugiego dnia w gąszczu nieprzejrzanym ostępu ubił tura brodacza, pojedynka, bezpiecznego w swej komyszy carza kniei.

Długo, dumnie nad nim otrębywał się zwołując drużynę. Powracali utrudzeni. Leśniczówka huczała przyjaźnie ogniem w kominie, na stole nieheblowanym dymiła winna polewka, by wygnać z kości chłód zawilgły boru. W kąt ciskano oszczepy, wieszano rusznice. Wrzały łowieckie kłótnie, przechwałki, wspominki.

I król śmiał się znowu ze swoimi, łgarstwo im zadawał, chełpił się turem. — A spał smaczno.

Nazajutrz jednak zarządził powrót. — Ubiliśmy królewskiego zwierza Zielonki, nic tu po nas! — powiedział śmiejąc się, ale twarze towarzyszów się wyciągnęły.

Kłusował przez dzwoniące ptactwem leśne bezludzie, z myślą, że być może jedzie oto znów, jak kiedyś do domu swego — bez furty na Wilenkę — na fest beztroski, który zakończy nie wiedzieć jeszcze jaka kawalerska przygoda. A nocą głęboką po zabawie, może chwyci się spraw, pochyli nad papierami, jak to potrafi niestrudzona, mądra królowa matka. Lecz kiedy słońce przeszło południe, zaczął pośpieszać. Koń zgoniony potykał się na korzeniach — zrywał go, bódł ostrogami. Towarzysze w milczeniu pędzili w trop.

Popas był krótki. Wyciągnęły się daleko cienie i Zygmunt August zrozumiał, że za nic na świecie całym nie chybi godziny zwykłej, tam, na stopniach omszonych u drzwi dębowych. Gładził zapieniony kark konia i półgwizdem, półkrzykiem, jakiego się nauczył od kupców multańskich, naglił go.

Dojechał sam jeden, zgubiwszy drużynę. Zamek układał się na spoczynek, nie spodziewano się jego powrotu. Zaspany pachołek przyniósł mu inne suknie. I powiedział, że przyszli i czekają dotąd książęta Radziwiłłowie...

Rozkazał prosić. I milczał. Zbyt wiele już kazały się domyślać ich skupione, zamknięte, litewskie twarze — i ta pora. Gdy odesłał pokojowca, obydwaj razem pokłonili się w pas, dotykając dłonią ziemi.

— Panie miłościwy, my z prośbą pokorną do hospodyna naszego.

Twarze były obce, jakby nigdy nie widział ich roześmianych przy swoim stole, pohukujących na łowach. Obcość twarda przystąpiła oto i stała o krok.

— Panie najjaśniejszy! — podjął podczaszy. — Nie lża nam już dłużej cierpieć sromoty domu naszego książęcego przed światem, racz wybaczyć miłościwy królu, ale tak zwą to ludzie cześć miłujący..

Pochylili się znów do ziemi. Zygmuntowi rumieniec ciemny bił na lica — takie słowa, takie twarze: nienawidził tego wszystkiego, jak jeszcze nigdy w życiu!

— Miłościwy panie. Owo parę niedziel minęło, jak chcieliśmy prosić twego pańskiego, królewskiego słowa, jedno nie stało śmiałości... jako poniechasz siostry naszej... Jako jej nie ujrzysz, ani nawiedzisz...

Nie ujrzysz! nie nawiedzisz!...

A przecież ulgę jakąś niosły te słowa.

— Dziś przecie, miłościwy panie, sprawa insza! — przerwał Radziwiłł Czarny głucho i ponuro.

— Insza — powtórzył Rudy i znów skłonili się głęboko obaj. — Albowiem objawiła nam siostra nasza wdowa, że spodziewa się dziecięcia. Twojego, najjaśniejszy panie!

Arkan padł. Spodziewany, dławiący.

Przymknęli uroczyście oczy Radziwiłłowie, widząc, jak ich król pobladły opuścił ku ziemi otwarte, próżne dłonie.

— Zali to pewna?

Wspomniał wejrzenie Barbary ostatniego wieczora. Jej spokojne oczy toczące się błędnie...

— Wierzyć musim siostrze naszej!

Ale naraz bezwładne dłonie królewskie zacisnęły się w pięści.

— A z jakąż że prośbą przyszliście tutaj nocą, mości panowie?

Było milczenie po tych słowach.

— Sam jesteś panem, miłościwy królu. I szlachcicem. — Radziwiłł Czarny spojrzał mu w oczy nieulękłymi oczyma. Ale cofnął się o pół kroku, gdy łagodna, urodziwa, dobrze znajoma twarz młodzieńca naraz się przemieniła:

— Marszałku! Azaż mam wierzyć? Choćby w to, że to dziecko ode mnie? Kto mi uwierzyć każe, czy wy, bracia pobłażliwi?...

Zęby dzwoniły mu jak w febrze. Niepowstrzymane łzy rozpaczy i gniewu pobiegły po licach.

— Czyńcie co wola! Zalim nie słyszał, coście ze starszą, z Anną czynili, by panieńskiej sławy nie postradała... Macie Geranojny, macie pustkowia, macie wiernych... Ja już jej nigdy nie nawiedzę, ani ujrzę. Niechaj zapomną ludzie, niech ona zapomni... Na to macie słowo moje!

I zatoczywszy się wyszedł z komnaty.

A oni długą chwilę patrzyli po sobie, i powiedzieli sobie oczyma, bark potężnych wzruszeniem niejedno. Potem wyszli.

Zygmunt August tuż obok w ciemnej izdebce paziów stał z ramieniem przyciśniętym do czoła, z twarzą przysłoniętą tym samym czarnym płaszczem hiszpańskim, który już zarzucił był na siebie, żeby tam iść.

A oto nigdy więcej.

Pazik obudził się i przeżegnał. Nie, to zmora go łudziła — nie było tutaj nikogo. Noc ciemna, bo nów, i cicha — słowiki już pomilkły. Cisza w zamku i tylko gdzieś w bramie tupot — może panowie wracają z łowów. Trzeba wstać, poświecić... Lecz sen przemocą zawiera dziecinne powieki.

Nigdy więcej!

W tę głuchą noc i w dzień następny, który Bóg jeden wie, jak przeminął, i w drugą jeszcze bezsenną noc Zygmunt August dowiedział się, że to być nie może.

Dowiedział się, jak od obcego. Bo własna myśl jego nosiła się tam i sam bezradnie i błędnie, jak liść na wietrze.

Było zrazu, że próbował pytać siebie, gdzie powinność? A wówczas odzywała się natychmiast nieufność wrodzona, matczyna, wietrząca podstęp i wzdrygająca się przed wnykami.

Ale to nazbyt bolało.

Więc pozwalał przepływać niepowstrzymanie wspomnieniom, przeczuciom, udręczeniom. Błyskawicą przeleciały mu mroczne Geranojny i pewność wtedy, że żadnej nie ma nadziei. I ogrody, cmentarna, jesienna woń jodłowego podścieliska. Śmiertelny brał go żal i taki lęk, jakby co jeszcze gorszego mogło się wydarzyć.

Tedy próbował przywieść sobie na myśl te inne sprawy: koronę polską, ojca, przyszłość. Teraz to wszystko uchodziło z pamięci, nie imało się głowy w noce bezsenne, lub przynoszące ciężki spoczynek o świcie, z którego budził się z twarzą we łzach.

Pytał siebie chwilami: a jeżeli istotnie urodzi się Jagiellończyk? Ale i to mijało myśli.

Jedno, o tylko jedno wypełniało źrenicę pamięci, trwało na niej niezmazane jak słoneczna plama; i dniem i nocą dostrzegał każdy jej gest najmniejszy, jej dłonie, poruszenie jej powiek — nie już jak w śnie wyrazistym, ale jak w najczystszym zwierciadle. Serce topniało na jej obraz niezatarty, obraz jasny nawet i wtedy, gdy żądza dręczyła ciało nienawykłe wyrzeczeń, albo gdy łzy znużenia i bezradności kłuły pod powiekami.

Zrozumiał. Za trudno będzie tak właśnie żyć. Za trudno, choćby cesarzem świata... Ile dni bez niej, ile nocy. I tak przeżyć to jedyne życie swoje?

Za trudno.

Słuchał raz jeszcze kurów porannych i znowu, jak kiedyś, z ostatnimi echami zasnął snem zapomnienia i wyswobodzenia.

Trzeciego dnia, zupełnie tak jak zwykle przez tyle dni minionych, z wieczora odprawił służbę. Namaścił olejkiem w pośpiechu włos, dłonie, zarzucił płaszcz hiszpański wierzchem i z jednym paziem, niosącym rogową latarkę, wyszedł przez boczną furtę.

Szedł jak we śnie do znajomej furty naprzeciw. Nie była zamknięta. Ogród majaczył letnią zielenią, woniał hyzopem, lawendą. Ale on nie czuł, nie widział. Dwa stopnie oślizgłe nie zdążyły się okryć pleśnią. Zakołatał. Drzwi ciężkie otworzył nieznajomy pacholik i wraz wybiegł, zostawiając je otworem. Sień przemierzył w rozproszonym, nocnym półblasku.

Barbara siedziała przed zwierciadłem. I ujrzała go bladego w mrocznej tafli, jak ducha o północy. Porwała się, padła mu na piersi i przez chwilę serca ich tętniły tak mocno, że tchnienie z ust ledwie się mogło przecisnąć.

Potem weszli Radziwiłłowie. Obaj: Czarny i Rudy. Weszli od ogrodu, jakby zastępując królowi drogę powrotną. I było milczenie. Naprzeciw siebie król wyniosły, Barbara, blada jak płótno, i jej bracia, czujne, wielkie, posępne twarze, z opuszczonymi grubymi powiekami.

— Panie najmiłościwszy!... Przyrzekliście oto nam dwóm nie nawiedzać więcej siostry naszej!

Zygmunt milczał. Podniósł głowę, poruszył nozdrzami.

— A skądże wiecie, że to dzisiejsze nawiedzenie moje — na hańbę domowi waszemu, a nie na zaszczyt i chlubę?

Czworo czarnych, wlepionych w króla oczu połyskiwało w półmroku.

— Boże to daj! — zawołał Radziwiłł Czarny.

A Rudy otworzył drzwi w głębi na dalsze pokoje; przeszli we trzech. Barbara pozostała w komnacie.

Krokom odpowiedziała wielka sala biesiadna. Na ścianach krwawo migotały dogasające pochodnie. Zygmunt zatrzymał się.

— Panie podczaszy i wy, panie marszałku — wyprostowany mierzył ich gorejącymi oczyma — Was jako opiekunów i bracią pani wojewodziny trockiej, proszę dziś o jej rękę w małżeństwo.

Echem zaszemrały wszystkie kąty komnaty, Radziwiłłowie pochylili się w pas ku ziemi. I raz jeszcze. I raz jeszcze. Echo powtórzyło głuche stęknięcie z piersi tęższego, marszałka. Pochodnie dogasały. W wielkim dworze cicho było jak na cmentarzu.

Wnet jednak okazało się, że tego wieczora czuwali tu jeszcze starosta merecki Dowojna, szwagier Mikołaja Rudego, siostrzeniec jego Kieżgajło i ksiądz w komży ze stułą.

Nie zapalono więcej świateł na pokojach. I w kaplicy świece nie rozproszyły grubej pomroki. Barbara stanęła przed ołtarzem w tej samej ciemnej sukni, w jakiej ją zastał tego wieczora. Ani czepca wdowiego nie miała, ani ślubnego wianka. Ani nawet jednego kwiatu, których tyle kwitło tuż za oknami. Bledsza się widziała, niż jej giezło rąbkowe u szyi.

Byłaż ona w tym wszystkim? Knowała z nimi? Pocóż wiedzieć. Oto on poślubia miłowanie swoje, źrenicę oczu swoich. Na życie, na śmierć...

Śmielej, niż z ust drżącego księdza zabrzmiały z ust obojga słowa przysięgi. A kiedy stuła splatała mocną, ciemną dłoń myśliwca z białą ręką, nieświadomą igły i krosna — ta miękka ręka już ufnie spoczęła w tamtej.

Ale wychodząc z kaplicy dostrzegł Zygmunt, że twarze otaczających wstrząśnięte są tym nocnym obrzędem, wybladłe i że radość nie jest w mocy za nie się wydostać.

Rzecz się stała ogromna. Zygmunt August Jagiellończyk, król polski i wielki książę litewski, przed Bogiem i Kościołem był małżonkiem Radziwiłłówny.

*) Fragment powieści „Zygmunt August i Barbara".

MIECZYSŁAW WIONCZEK

Przechadzki drezdeńskie

Drezno, w lipcu.

„Ich habe durch mein Leben bewiesen, daß ich fähiger bin als die Zwerge, meine Vorgänger, die dies Land zugrunde gerichtet haben" — Adolf Hitler w r. 1938.

Czy wypada dzisiaj rozpoczynać reportaż od cytaty z mowy Hitlera? Przypominałem ją sobie wielekroć, podczas tych mrocznych pięciu lat. Wyskakiwała z podświadomości, ilekroć w niemieckich komunikatach wojennych pojawiały się nazwy takie, jak Kolonia, Akwizgran, Trewir, Bonn, Drezno, Heidelberg, Augsburg. Sięgało się wtedy do przewodników i podręczników historii sztuki i porównywało napotkane reprodukcje i fotografie z kłębiącymi się pod powiekami obrazami żywiołowego zniszczenia, które zamieniało te miasta w pustynie. Dziś na grobie Drezna słowa najpodlejszego z Herostratesów są specjalnie wyraziste.

Z mostu Augusta, łączącego reprezentacyjną dzielnicę Drezna ostatnich Wettynów z Dreznem Augusta Mocnego i jego następców, wielu już cudzoziemców z Baedeckerami w ręce podziwiało panoramę niemieckiej Florencji, jak — z niemiecką przesadą — nazwał miasto Herder. Na moście Augusta stałem i ja, sześć lat temu, późnym latem ostatniego roku zawieszenia broni między dwiema wojnami. Od strony królewskiego pałacu ku Łabie szły szybkim marszem brunatne kolumny, napoły śpiewem, napoły rykiem wyrzucając z siebie agresywną melodię pieśni o Horscie Wesselu. Słońce stało właśnie nad strzelistą sylwetką kościoła dworskiego i fasady wszystkich nadrzecznych budowli były czarne od głębokiego cienia. Z perspektywy kilkuset metrów zabytkowe Drezno wyglądało jak misternie wystrzyżony kawałek czarnego papieru naklejony na lazurową płaszczyznę nieba. Cień jednak nie był dość głęboki, aby pochłonąć czerwień wielkich płatów płótna, popstrzonych swastykami. Barokowe Drezno wytwornych kurfürstów i Brühlów, zawinięte w zwoje tandetnego, jednostronnie drukowanego materiału i ryk tryumfu setek gladiatorów Hitlera, oto co pozostało w pamięci z ówczesnych moich drezdeńskich przechadzek.

•

Od którejkolwiek strony podjeżdżasz do Drezna, miasto leży w wielkiej niecce, której spodem wije się Łaba. Niecka obrzeżona jest pagórami lasów, w których, jak głoszą zapiski, w czasach Karola Wielkiego i jego bojów z zawziętym plemieniem Sasów mieszkał, żył i polował lud zwany Drężgajanie od staro-słowiańskiego drężga czyli las. Od tej to nazwy, którą ochrzczono także starą rybacką wioskę, leżącą na prawym brzegu Łaby w okolicach dzisiejszego rynku dzielnicy Drezno—Neustadt, pochodzi nazwa miasta. Po drugiej stronie rzeki w końcu XII wieku w miejscu dzięki bagnom i stawom do obrony dogodnym, któryś z margrabiów saskich gród wybudował warowny. Tak jak przez wieki wyschła woda w bagnach poddrezdeńskich, wyschła i zamarła Słowiańszczyzna, a resztki jej wycofały się ku wschodowi między Budziszyn i Zgorzelec, na Łużyce właściwe. Pozostało tylko to, co na działanie czasu najodporniejsze — nazwy geograficzne — Loschwitz. Briesnitz, Hosterwitz, Blasewitz, Pilnitz, Poyritz, Copitz, aby wymienić pierwsze lepsze nazwy przedmieści czy wiosek poddrezdeńskich, przez które się w drodze do miasta przejeżdża. Któż o tym poza Słowiańszczyzny antykwariuszami nielicznymi pamiętał? Kiedy w drugim roku wojny list od wywiezionego do Niemiec przyjaciela dostałem z pieczęcią Wachwitz in Sa., z trudem uświadomiłem sobie, że jest w Saksonii. Wachwitz wyglądało mi na jakieś miasteczko z pogranicza, znad Odry czy z Pomorza, a nie z Niemiec centralnych, znad Łaby. A potem pomyślałem sobie, że jest mniej osamotniony w tych Wachwicach, niż byłby w jakimś Markersbachu czy w Gersdorfie...

•

Teraz znów stoję na moście Augusta na Łabie w dniach naszego wreszcie, nie ich, tryumfu. Jest ta sama pora roku i dnia, co wówczas. Sylwetka zabytkowego Drezna jest równie, jak wtedy, pogrążona w cieniu. Tylko kontury jej uległy jakiejś zmianie. Ach, tak, brak czubków wież i dominującej nad wszystkim kopuły Frauenkirche. Te pięć lat nieobecności trwały dla nas bardzo długo, prawie wieczność. Widocznie przez ten czas erozja: słońce, powietrze i woda starły drażniące jej występy tak, jak ścierają iglice granitowych turni. Tak to wyglądało z daleka, z drugiego brzegu rzeki. Ale to, co się działo na moście, odsunęło myśl o erozji. Most pod wpływem jakichś sił gwałtownych wybrzuszył się był w jednym miejscu i zapadł w rzekę w drugim. Ponad wyrwą znużeni ludzie w mundurach, które pamiętam z tamtego Drezna, tylko sfatygowani przez czas, pracowicie układali pomost z desek i bali. Na fasadach budowli po tamtej stronie nie było żadnych czerwono-czarnych płacht. Kiedy szedłem ku nim, budowle przestały być gładkie czernią cienia, stały się dziobate jak twarz rekonwalescenta po ospie. Z dziobów tych w niektórych miejscach przebłyskiwały kawałki nieba. Pod mostem mrówki ludzkie w jednostajnych strojach koloru zeschłego siana ciągnęły jakieś ciężary w różne strony. Na balustradzie mostu wisiał długi transparent z napisem: „Mit Hitler haben wir zerstört, mit der Roten Armee bauen wir auf".

Teraz się ocknąłem. Bo jechało się kilkadziesiąt kilometrów przez niezniszczony kraj, potem przez przedmieścia, które wyglądały tak, jakbym je wczoraj, a nie przed wojną widział. Jechało się, tak jakby tych pięciu mrocznych lat wcale nie było — wygodnym sportowym samochodem. I dlatego w pierwszej chwili wydawało się, że w sylwetce Drezna nic się nie zmieniło. Zmieniło się wiele, zmieniło się wszystko. Stałem przed czymś, co wówczas było jednym z najpiękniejszych miast Rzeszy, a dzisiaj jest cmentarzem. Bo to, że ocalały wszystkie przedmieścia Drezna, że ocalało prawie w całości Neustadt, to nic. Można śmiało wydrzeć teraz z Baedeckera wszystkie kartki z opisem Drezna i wrzucić do Łaby. To co stało w cieniu nad Łabą, to były wypalone szkielety pałacu, teatru, kościoła dworskiego, akademii sztuk, muzeum i Frauenkirche. Od strony tych szkieletów szła kolumna ludzi-jeńców. Szli popod terasą Brühla, brzegiem Łaby na wschód. Adolf Hitler dotrzymał swego przyrzeczenia — okazał się zdolniejszym od swych poprzedników, którzy rzekomo w r. 1918 „dies Land zugrunde gerichtet haben". Jego rekordu pobić nie sposób.

•

Jest po wojnie. Opalone pożarem z jednej strony drzewa na tarasie Brühla, ciągnącej się nad Łabą przed pałacem Wettynów, puszczają nowe pędy. Po zniszczonych ulicach śródmieścia zapobiegliwe drezdenki biegają z pustymi koszykami w poszukiwaniu żywności. Wszędzie dużo kobiet i kalek. Na ławce nad rzeką siedzi starszy, siwy mężczyzna, o zdecydowanie inteligenckiej twarzy i żuje kromkę sczerstwiałego chleba. Za plecami ma ruiny Drezna, przed sobą na drugim brzegu Łaby mrowisko niemieckich jeńców pod sowiecką komendą uprzątających nabrzeże rzeki. W torbie mam chleb, konserwy i owoce. Tylko nie wzbudzić w sobie litości! Cóż, że człowiek ten jest profesorem historii sztuki, czy znakomitym inżynierem? Jeśli nie brał udziału w pierwszej wojnie, to niewątpliwie czytał z dumą adres uczonych niemieckich do cesarza Wilhelma. A może nawet sam go podpisywał... A w tej wojnie pewnie jego synowie rozstrzeliwali na ulicach Warszawy, Aten czy Oslo niewinnych ludzi. Jeśli nie synowie, to bratankowie, siostrzeńcy czy wnukowie. Nie poczęstuję go kawałkiem chleba, choćby mdlał z głodu.

„Es war furchtbar..." — powiada ni to do mnie, ni to do siebie. Tak, było potwornie — przytakuję. Myślimy o różnych całkiem rzeczach. On o pożarze Drezna, ja o pożarze Europy, o krematoriach Oświęcimia i Oranienburga. „Była jasna księżycowa noc, 13 lutego, w mieście, natłoczonym do granic możliwości, mieszkało, gnieździło się i koczowało milion ludzi. Zaczęło się kilka minut po północy. W ciągu kwadransa płonęło całe miasto. Pan rozumie — dwa tysiące bombowców na raz. Spłonęło dwieście tysięcy ludzi w ciągu jednej nocy. I całe zabytkowe Drezno. Es war furchtbar!"

„Tak, to dość wiele, jak na jeden raz — odpowiedziałem. — Tylko że na nas nawet dwieście tysięcy na raz przestało robić wrażenie. Bo u nas spłonęło przez lata waszego panowania 10 milionów. A gdybyście wygrali wojnę, spłonęłoby znacznie więcej. Palono ich z niemiecką systematycznością i dokładnością. Po ostrzyżeniu włosów, które szły na produkcję materaców, na których wasze kobiety miały poczynać nowe pokolenia zdobywców świata. Po wyrwaniu złotych zębów, którymi płaciliście potem zagranicy za surowce, potrzebne do produkcji dalszych narzędzi śmierci".

„Nie wiedzieliśmy o tym. A nawet gdybyśmy wiedzieli, to co moglibyśmy przeciw temu uczynić..."

„Nie wiedzieliście o tym, bo nie chcieliście wiedzieć. Tak, jak nie wiedzieliście nic o prześladowaniach Żydów od 1933 roku, o obozach koncentracyjnych, w których przez pierwsze pięć lat panowania waszego wodza zginęło to wszystko, co było i Niemcami i Europą naraz. Pan pewnie, tak jak wy wszyscy, ceni Fryderyka Wielkiego. Ale Fryderyk Wielki cenił was, Niemców, znacznie mniej, niż wy jego. Bo przy jakiejś okazji powiedział: naród niemiecki to stado baranów, które można przy pomocy kija zaprowadzić tam, gdzie się tylko chce. I Adolf Hitler zaprowadził was bardzo daleko. Bo aż na dno klęski. I teraz ma pan za sobą ruiny miasta, przed sobą ruiny ludzi... A mimo to, rozrachunek z Europą nie został zakończony. I nie zostałby zakończony, nawet gdybyście wszyscy poszli na nasze miejsca do Majdanków i Ravensbrücków".

•

Po ruinach Warszawy nic już zadziwić nie może. Po ruinach Gdańska, Poznania i Wrocławia, nic nie robi wrażenia. Ale szczątki Drezna wyglądają zupełnie inaczej, niż wszystko, co do tej pory widziałem. Ulicami po nietkniętych nawierzchniach przebiegają wielkie limuzyny z oficerami z dowództwa frontu marszałka Koniewa. Fasady domów prawie nienaruszone. Za fasadami próżnia. Wszystko, co nie było kamieniem i metalem, znikło w tyglu największego z pożarów świata. Martwe fasady defilują przed nami setkami metrów, nie, kilometrami. Ocalały tylko w kwadracie o boku trzech kilometrów pomniki na większych placach publicznych i metalowe tablice pamiątkowe na historycznych budowlach. Tak musiało wyglądać Drezno po ostatnim wielkim pożarze, który w czasie panowania Jana III Wettyna w roku 1685 zniszczył stare renesansowe miasto.

Na Starym Rynku w objęciu spalonych kamienic stoi „Siegesdenkmal". Germania w żelaznej koronie, jaką pamiętamy z dziecinnych lat, kiedy zbieraliśmy znaczki pocztowe z czasów pierwszej światowej wojny. U stóp „Blondbestii", wzniesionej po 1870 r., siedzą cztery kobiety, wyobrażające cnoty niemieckie: pokój, siłę zbrojną, naukę i oddanie sprawie ojczyzny. Wszystkie cztery są identyczne. Żołnierzowi sowieckiemu, który wspiął się na cokół i którejś z nich na piersi napisał nieparlamentarne słowo, było najzupełniej obojętne czy pisze na piersi niemieckiego pokoju czy niemieckiej nauki. Mnie jest to także obojętne. Ważne jest to, że nad Łabą, czterysta kilometrów od granic przedwojennych Niemiec, żołnierz sowiecki napisał na pomniku dumnej Germanii to co mu serce czy humor dyktowały. Powaga Germanii została rozładowana jednym krótkim nieparlamentarnym słowem.

•

Na ocalałych przedmieściach życie toczy się normalnie. W każdym razie pozory normalnego życia istnieją. W tramwajach przepełnienie. Mężczyźni, wszyscy chyba, których spotkałem, z zielonymi lub żółtymi opaskami o rosyjskich napisach — służba miejska, pracownicy zakładów użyteczności publicznej. I dużo kobiet. Mówią wszelkimi możliwymi odmianami niemczyzny literackiej. Najmniej chyba po sasku. Wojna zmieszała Hamburczyków z Bawarczykami, Westfalczyków z przybyszami z Sudetów.

Burmistrz miasta Drezna wielkimi zielonymi plakatami wzywa wszystkich „uczciwych Niemców" do współpracy. Z jego afisza po raz pierwszy padają w niemiecki tłum nazwy: Auschwitz, Majdanek, Buchenwald. Burmistrz Drezna oficjalnie potwierdza niemieckie potworności. „Obwohl es sehr viele Soldaten der Roten Armee gibt, denen Mutter, die Frau, die Kinder geschändet, getötet, als Sklaven verschleppt und misshandelt, in den Todeslagern wie Majdanek, Auschwitz, Buchenwald vergast und **fabrikmässig** verbrannt wurden, denen von Deutschen Truppen die Heimstädten und Dörfer bis auf die Grundmauern zerstört wurden, findet die Stadt Dresden bei der Roten Armee das Entgegenkommen". To nie bardzo łatwe jest do pojęcia dla Niemców. Oczekiwali z trwogą odpłaty, która nie nadeszła. I są niewątpliwie panującym ładem i spokojem zakłopotani. Zakłopotaniem złoczyńcy, któremu mimo że wina jego jest znana, nie wymierzono sprawiedliwości. Nie wiedzą, czy to jest wspaniałomyślność zwycięzcy, czy cisza przed wyrokiem.

Chyba wspaniałomyślność zwycięzcy, który chce tylko zniszczyć niemiecki faszyzm. Ale jak oddzielić niemiecki faszyzm od narodu niemieckiego? Czy jest to możliwe, czy się uda?

•

Ulicami Drezna, ku autostradzie Drezno—Wrocław, ukończonej tylko zresztą we fragmentach, ciągną długie pochody samochodów i konnych wozów. Dużo śpiewu-pieśni znad Dniepru, Wołgi i Jenisieja, wiele czerwieni. Oddziały frontowe po zwycięskiej wojnie powracają do domu, na łono wielkiej matki Rosji. Zostawiają za sobą ruiny obce, aby we własnych pod Charkowem, Moskwą i Leningradem budować nowe życie. Drezno mimo tłumów mieszkańców jest martwe. Tak jak ono, wygląda sześćdziesiąt pięć dużych miast niemieckich i setki mniejszych. Na wszystkich pomnikach Germanii w całej Rzeszy żołnierze zwycięskich wielojęzycznych armii ryją swoje inicjały. Prawie wszystkie fabryki Niemiec wyglądają tak jak zniszczona do fundamentów fabryka motorów lotniczych w stolicy Saksonii. Tak jak herby Wettynów nad Łabą, herby Hohenzollernów w Berlinie, królów bawarskich w Monachium, pamiątki po świetnych czasach Hansy w Hamburgu, Altonie i Bremie walają się wśród zgliszcz. Wielkoniemiecka Rzesza, „das dritte und letzte Reich" jest na dnie klęski. Cóż zrobicie, zwycięzcy, aby nigdy nie powstała?

O Klub Młodych Plastyków

W krakowskim Domu Literatów otwarto wystawę najmłodszych malarzy. Jedna niewielka salka, kilkanaście nowych nazwisk ludzi, którzy przed wojną byli zbyt młodzi, żeby studiować w Akademii Sztuk Pieknych — to zdarzenie nie tak znowu ważne, żeby poświęcać mu aż osobny artykuł. Krakowski Związek Plastyków jest obecnie z całej Polski najsilniejszy ilościowo, najbardziej rozbudowany organizacyjne, na liście jego członków figuruje wiele nazwisk artystów o pierwszorzędnej wartości dla polskiej sztuki. Ale od wyzwolenia Krakowa upłynęło dopiero pół roku i poza wystawą pośmiertną członków Związku zamordowanych przez Niemców, która była zresztą wydarzeniem wielkiej wagi tak pod względem artystycznym, jak i społecznym, i konkursem na afisz, Związek Plastyków nie zdążył zorganizować żadnej wystawy.

Obecna wystawa została urządzona poza Związkiem Plastyków. Wystawiających uważał zarząd za zbyt młodych na członków-kandydatów, co podniósł w swojej przemowie otwierającej wystawę Tadeusz Kantor. Nikt nie ma ani prawa, ani nawet ochoty kwestionować słuszności tego postanowienia; niemniej jednak Związek Plastyków mógłby wynaleźć dla wystawiających odrębną formę organizacyjną, stworzyć przybudówkę Związku, tak jak postąpił krakowski Związek Literatów, powołując do życia Klub Literatów. Pozostawienie tej grupy młodych malarzy zupełnie poza obrębem organizacji zawodowej jest niesłuszne, a traktowanie ich na równi ze studentami Akademii, którzy malarstwem zaczęli zajmować się dopiero po wojnie, krzywdzące. Poza tym, stwarzając Klub Młodych Plastyków, Związek Plastyków, tak jak Związek Literatów spełniłby ważne zadanie społeczno-wychowawcze.

Wystawa młodych plastyków zgrupowanych wokół Tadeusza Kantora jest interesującym zdarzeniem artystycznym nie ze względu na dokonania; obrazy ich są przeważnie niedojrzałe, pozostają pod silnym wpływem francuskich modernistów. Wystawa ta jest zdecydowaną manifestacją antyimpresjonistyczną. Młodzi ostro przeciwstawiają się postimpresjonistom; kolor jest dla nich tylko jednym z wielu (wcale nie najważniejszym) środków ekspresji, utrzymanie płaszczyzny obrazu nie zdaje się być dla nich ważnym problemem. Interesuje ich gra bryły z płaszczyzną. Kolor traktują po macoszemu, przytłumiają go kosztem wartości innych, architektonicznych i graficznych. Ten nie całkiem słuszny proceder ma wydobyć konkretność przedmiotu, jego realność. Przy oglądaniu większości tych obrazów ma się ciągle wrażenie walki artysty ze swoim własnym wyobrażeniem, czym ma być malarstwo — ciągłego błądzenia i mózgowego, apriorycznego przełamywania problemów malarskich przed praktycznym zetknięciem się z nimi. Od realizmu a nawet naturalizmu do konstruktywizmu przechodzącego w nudny schematyzm — można w tej pozornie jednolitej ideologicznie wystawie spotkać wiele nie tyle stylów, ile światopoglądów malarskich. („Ikony" Nowosielskiego, przekorny, na pozłótce malowany, naiwny obrazek „Turniej" A. Cybulskiego). Ci młodzi chwytają się wszystkiego, bawią się czym mogą. Ich rewolucjonizm artystyczny jest jednak mniej rewolucyjny od pierwowzorów. Bracque Szulca jest irytujący z powodu swojej, poza naiwnością, nieprzyzwoitej nieporadności i tchórzliwości w deformacji. Picasso Skarżyńskiego, to literackie, realistyczne opowiadania, wyrażone z nieprzyjemną plastycznie manierą, doprowadzającą do kompozycyjnego i rysunkowego schematyzmu. Dobrowolna rezygnacja z komponowania płaszczyzny kolorem prowadzi też do schematyzmu kolorystycznego, jak u Skarżyńskiego, czy nawet interesującego Brzozowskiego. Czasem, jak u Nowosielskiego, prowadzi do podlewania obrazu tradycyjnym sosem.

Wszyscy, oscylując od realizmu do jakiegoś jeszcze nie wykrystalizowanego dostatecznie modernizmu (przy czym nawet abstrakcjonizm ma swojego zwolennika w osobie M. Porębskiego) nie mają jeszcze poza starszym i o wiele mniej radykalnym mimo wszystko Tadeuszem Kantorem, wykrystalizowanych osobowości artystycznych. Najbardziej interesujący wydaje się Ali Bunsch (kompozycje i wnętrze z malarzami, którego lewa strona utonęła niestety we włochatej i pozbawionej płaskości mgle); jest on również najwrażliwszy na kolor i pomimo przebieleń szczęśliwie dość unika łatwizny sosów, odważny w deformacji rysunkowej, w której wykazuje dużo wdzięku i kultury.

Ciekawy proces przejścia od realizmu do form syntetyzujących obserwujemy w obrazach Janiny Kraupe; u Jerzego Kulawskiego widzimy proces odwrotny. Ewa Siedlecka wystawia projekty ilustracyj książek kulturalne i wdzięczne kolorystycznie i rysunkowo.

Poza tym wystawiają: Hoffmann, Grochot, Mikulski, Ewa Jurkiewicz i Wł. Smiga.

Dwa obrazy, pejzaż i kompozycja Tadeusza Kantora, organizatora wystawy i założyciela grupy odbijają swoim poziomem od reszty eksponatów tak dalece, że nie sposób o nich mówić łącznie z grupą. Sztuka jego jest już świadoma i dojrzała. Pomimo ascetyzmu w obchodzeniu się z kolorem, Tadeusz Kantor jest ze wszystkich wystawiających najbliższy postimpresjonistom; jest w nim ta sama dbałość o kompozycję płaszczyzny, kompozycję kolorystyczno-przestrzenną, jeżeli można się tak wyrazić mówiąc równocześnie o barwie i walorze. Nie ma w nim nic naiwności; jest surowy i mądry, wyrównany i aż niebezpiecznie poprawny, chwilami aż do oschłości — a może tylko taki się wydaje w otoczeniu naiwnych kolegów.

Dobrze się stało, że Związek Literatów zgodził się na urządzenie wystawy młodych plastyków, grupujących się wokół Tadeusza Kantora. Od czasu wystaw Grupy Krakowskiej zapomnieliśmy trochę o istnieniu innych problemów malarskich niż te, które nasuwają nam postimpresjoniści. A przecież sztuka, to ciągłe zdobywanie, to, wyraziwszy się metaforycznie, „permanentna rewolucja" w dziedzinie artystycznych środków i wzruszeń.

Dobrze się stało także i z tego powodu, że Związek Plastyków może zaopiekuje się młodymi talentami, pozbawionymi przez czas wojny kulturalnej opieki i estetycznego wykształcenia, i stworzy jakiś „Klub Młodych Plastyków", w którym jak w „Klubie Literatów", przez kontakt z dojrzałymi malarzami młodzież artystyczna zdobędzie niemożliwą do uzyskania podczas okupacji — podbudowę teoretyczno-estetyczną i zwykłą, prostą wiedzę o sztuce, jaką daje np. oglądanie dobrych reprodukcyj.

Helena Wielowieyska

PIONIER FILATELISTYCZNY

Miesięcznik poruszający aktualne zagadnienia filatelistyki

Prenumerata kwartalna z przesyłką poleconą zł 55.—. Wysyłka po wpłacie przekazem czekowym na konto firmy „Pionier" Sp. z o. o. w P. K. O. w Krakowie Nr IV—137 lub przekazem pocztowym pod adresem „Pionier" Sp. z o. o. Dział Filatelistyczno-Wydawniczy, Kraków, Bracka 4. Tel. 506-06, 593-12.

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Teatr robotniczy i nowa dramaturgia

Sprawa teatru robotniczego w nowej Polsce jest sprawą równie ważną, jak pilną, domagającą się szybkiego rozwiązania i realizacji. Jeżeli tyle się mówi i pisze o odbudowie bibliotek i innych instytucyj kulturalnych, nie należy pomijać równie zasadniczego problemu, jakim jest organizowanie nowych placówek kulturalno-oświatowych, które w Polsce przedwrześniowej albo w ogóle nie istniały, albo też wskutek specyficznych warunków nie mogły odegrać należnej im roli. Te placówki — mam na myśli teatry ludowe i robotnicze — powinny teraz znaleźć odpowiednie możliwości rozwoju, aby ich działalność nie wyrażała się tylko oschłymi kolumnami sprawozdań i trudnymi do sprawdzenia cyframi statystyk, lecz osiągała istotne rezultaty, niosąc światło prawdziwej kultury najszerszym warstwom społeczeństwa. Problem tzw. „teatru mas", czy „teatru powszechnego" mało kogo obchodził u nas przed wojną. Tylko nieliczni teoretycy poświęcali mu nieco miejsca w swych rozważaniach i tylko nieliczni artyści usiłowali realizować jego postulaty, głównie przez organizowanie imprez objazdowych. Te wysiłki napotykały jednak zawsze ostateczną i zasadniczą przeszkodę, a mianowicie brak odpowiedniego repertuaru. Wobec niej załamywały się zarówno teoretyczne dywagacje, jak i wędrówki „Reduty", czy niektóre poczynania Jaracza. To było także przyczyną, że przedwojenny teatr polski był teatrem zdecydowanie elitarnym, a więc tracącym konsekwentnie rację bytu i zmierzającym nieuchronnie do zupełnego bankructwa ideowego i artystycznego. Podobny był do zmurszałego pnia, pozbawionego soków, skazanego na zniszczenie. Odświeżanie i balsamowanie go za pomocą znakomitych i oryginalnych inscenizacyj Leona Schillera, czy usiłowań Jaracza i nie zawsze szczęśliwych pomysłów Osterwy, było działaniem na zbyt krótką metę, a poza tym nie szło po linii istotnego rozwiązania nagromadzonych zagadnień, przeszkód i trudności. Wszyscy ci ludzie teatru doskonale zdawali sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji, byli jednak bezsilni wobec uporczywego milczenia autorów i ogólnych warunków społecznych.

Z tego stanowiska zrozumiała się staje katastroficzna postawa St. Ign. Witkiewicza, zaznaczona w jego dramatach i rozpaczliwie paradoksalnych wypowiedziach. Wówczas można było tę postawę Witkacego zrozumieć, ale nie sposób było i jest ją naśladować. Gdzie indziej leżało odrodzenie polskiego teatru, gdzie indziej krążyły soki, zdolne ożywić jego zmurszały pień. Tadeusz Kudliński w szkicu pt. „Teatr syntetyczny" (1938 r.) zajmując się tą sprawą dochodzi do wniosku, że odrodzenie polskiego teatru leży w syntezie elementów teatru elitarnego i ludowego. Twierdzi, że harmonijne zespolenie się tych elementów będzie rozwiązaniem problemu upowszechnienia teatru w ogóle. Nie odmawiając zasadniczej słuszności temu twierdzeniu, można by nie zgodzić się już dzisiaj na jego kompromisowość. Warunkiem oczyszczenia się atmosfery teatralnej w Polsce jest stopniowe ale konsekwentne zanikanie starych form teatru elitarnego, korzeniami tkwiących w epoce renesansu i wyrosłych na gruncie tej epoki. Synteza, o której pisze Kudliński, to stadium początkowe.

Idzie więc o to, by rozbić teatr elitarny przez włączenie pierwiastków sztuki ludowej, co równocześnie oznacza udostępnienie teatru szerokim masom. I tutaj zbliżamy się do kwestii samoistnych teatrów ludowych i robotniczych, która jest sama w sobie zagadnieniem społecznym pierwszorzędnej wagi. O ile teatr ludowy wegetował przed wojną dzięki usiłowaniom jednostek (należy zwrócić uwagę na prace Cierniaka i Mikuty), o tyle teatr ściśle robotniczy, a więc taki, którego zespół artystyczny składałby się z robotników i który grywałby w świetlicach fabrycznych, czy w świetlicach domów związkowych, pozostał w sferze nieosiągniętej idei. Dorywczo i bezładnie działające kółka amatorskie pod amatorskim kierownictwem, nie mogą być brane pod uwagę w skali, na jaką powinna być zakreślona akcja tego rodzaju. Toteż praca, jaką należy teraz przedsięwziąć w tym zakresie, jest pracą pionierską i prawdziwie twórczą. Trzeba tu wszystko zaczynać od podstaw, co jest tym trudniejsze, że nie ma gotowych wzorów, na których można by oprzeć pierwsze poczynania. Trudno wymieniać osiągnięcia rosyjskie, jeśli porówna się stopień nasilenia „instynktu teatralnego" obydwu społeczeństw. Nie stać nas zresztą na gigantyczną propagandę teatralną, rozwiniętą przez Związek Radziecki w międzywojennym dwudziestoleciu, a więc w okresie, gdy u nas wszechwładnie panował system elitarny. Te braki, w połączeniu z koszmarem pięciu lat, przeżytych pod okupacją hitlerowską i z radykalnymi zmianami w psychice społecznej, wywołanymi przez drugą wojnę światową, narzucają zupełnie nowe wymagania i perspektywy prac w każdej dziedzinie, a więc także w dziedzinie sztuki. Niewątpliwie powstanie nowa literatura i nowy teatr. Zanim to jednak nastąpi, należy przygotować glebę pod przyszłe zbiory.

Niezależnie od procesu, który prędzej czy później doprowadzi do likwidacji teatru elitarnego, rozsadzając go od wewnątrz naturalnym dopływem nowych, wyzwolonych sił twórczych, sprawa organizacji samoistnych teatrów robotniczych wysuwa się na pierwszy plan. Wspomniany już „instynkt teatralny", który w mniejszym co prawda stopniu, niż Rosjanin, ale w większym, niż członek narodów niesłowiańskich, posiada Polak, inteligent, chłop i robotnik, będzie tu wybitnie ważnym momentem, wspomagającym akcję. Wiem, jak ogromnym powodzeniem cieszyły się w czasie okupacji konspiracyjne wieczory teatralne, urządzane nieraz — oczywiście z zachowaniem wszelkich ostrożności — w fabrykach czy osiedlach robotniczych. Dyskusje, jakie się potem rozwijały, pozwalały mieć nadzieję, że z chwilą odzyskania swobody, młodzież robotnicza masowo garnąć się będzie do pracy w teatrze.

Z tym większym zdumieniem obserwujemy fakt, zdający się przeczyć temu mniemaniu. Dotychczas powstał w Polsce jeden tylko teatr robotniczy, a tzw. „Ognisko Wychowania Estetycznego" (coś w rodzaju skróconej szkoły dramatycznej), istniejące przy tym teatrze, liczy zaledwie 35 uczniów i uczennic. Teatr, o którym mowa, powstał z inicjatywy Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego w porozumieniu z przedstawicielami stronnictw politycznych i związków zawodowych, pod nazwą „Międzyorganizacyjny Teatr Robotniczy im. Ign. Fika". Nauka w „Ognisku Wychowania Estetycznego" jest bezpłatna. Wykładowcy, wśród których znajdują się fachowi teoretycy oraz aktorzy zawodowi, opłacani są z subwencyj kuratorium. Teatr mieści się na razie w krakowskim Domu Kultury, a w najbliższym czasie ma otrzymać stały lokal własny. Projektowane są oczywiście występy w świetlicach robotniczych, których w Krakowie jest w tej chwili około trzydzieści. Niedawno teatr ów wystąpił z inauguracyjnym pokazem artystycznym. Pokaz ten potraktowano, jako ostateczny przegląd sił przed podjęciem awangardowej, ambitnie pomyślanej akcji. Byliśmy świadkami czynu artystycznego, dokonanego przez zespół surowy, lecz już świadomy swego celu. Tej „surowości" nie oddałbym zresztą za całą gładką rutynę zespołów, mających do rozporządzenia sceny teatrów miejskich.

A już ten pierwszy realny dowód zbiorowego wysiłku, pierwsza premiera, wywoła niewątpliwie głęboki oddźwięk i wciągnie do współpracy tych, którzy dotychczas z tych czy innych powodów do niej nie przystąpili. Idzie przecież o to, żeby sieć robotniczych teatrów pokryła całą Polskę, żeby słowo polskie, tak długo uciskane i krępowane, zabrzmiało swobodnie nie z trzydziestu, ale z setek estrad i scen fabrycznych. Niedociągnięcia i wady poprawiać się będzie już w toku pracy, wspólnymi siłami, w ogniu dyskusyj i krytyki. Teatr im. Fika objął swym pierwszym pokazem dwa montaże inscenizacyjno-recytacyjne w opracowaniu Mariana Mikuty. Teksty składały się z fragmentów wybitnych poetów polskich, kwestię wyrazu czysto teatralnego Mikuta rozwiązał bez trudu. Ale trudności dopiero się zaczną. Najważniejszą z nich jest ta, że — po owych dwóch montażach — po prostu więcej już nie ma czego grać. Pod tym względem sytuacja jest taka sama, jak przedtem, taka sama, jak w roku 39-tym. Mit o rozkwicie dramatopisarstwa w czasie okupacji okazał się tylko mitem. Powstało wprawdzie bardzo wiele sztuk, ale te, które nadają się do grania, należą jak dawniej do teatru elitarnego. Czyli do teatru, który nikomu już nie może wystarczyć. Nie może wystarczyć już nawet tzw. „elicie".

Nowy człowiek, którego życie wewnętrzne wyrosło z tła współczesnych wydarzeń dziejowych, pragnie nowego teatru. Człowiek, który ma odbudowywać i walczyć o przyszłość, nie może sobie pozwolić na estetyzowanie, na wracanie do form przebrzmiałych i pustych. Dla niego teatr musi być naprawdę „streszczoną kroniką czasu", aby mógł stać się narzędziem walki. Dzisiejszy konsument sztuki wymaga od niej istotnych podniet i prawdziwych wzruszeń, nie pozwoli się oszukiwać, ani brać na tzw. „smaczki". I jak każdemu Ateńczykowi bliski był Sofokles i Arystofanes, a każdemu elżbietańczykowi Szekspir, tak każdemu z nas — bez względu na przynależność klasową — powinien stać się bliskim dramat współczesny, otwierający nową epokę, dramat w pełnym tego słowa znaczeniu powszechny.

Stanisław Wyspiański, realizując w sposób genialny wskazania mickiewiczowskiej dramaturgii, dał szereg dzieł, głęboko wstrząsających sumieniem społecznym. Dla nas jednak — pomimo swej problematyki wiecznej — należą one w kształcie i wyrazie do zamkniętej epoki historii, jak należy do niej symbolizm i maeterlinckiada.

Nowa dramaturgia, uzupełniając dramaturgię paryską Mickiewicza, musi wypełnić nową treścią pusty dotychczas kontur historyczny naszej rzeczywistości, pogłębić jego sens społeczny. Tylko taki dramat stworzy teatr, jakiego nam potrzeba.

Zatrzymując wszystkie istotne wartości dawnego repertuaru w nowych koncepcjach scenicznych, teatr nowy dążyć będzie do upowszechnienia się, wystawiając sztuki, napisane na podłożu nowej dramaturgii. Nowa dramaturgia winna zaspokoić potrzeby nie tylko wielkich teatrów państwowych, lecz także scen i scenek ludowych i robotniczych, bez obniżania poziomu artystycznego i bez specjalnych przystosowań. Rzecz prosta, upłyną zapewne lata, zanim zupełnie zniknie antynomia „teatru elity" i „teatru mas", ale elementarnym obowiązkiem pisarza dramatycznego, jest dążyć tą drogą wytrwale i konsekwentnie.

JERZY TOEPLITZ

Film instrumentem kultury

Film powinien odegrać doniosłą rolę w odbudowie kultury polskiej, zniszczonej przez wojnę i tragiczne lata okupacji. Niewiele się o tym mówi, a jeszcze mniej pisze. Przyczyn tej powściągliwości jest wiele. Po pierwsze — stare, często zresztą uzasadnione uprzedzenie, jakie żywią ludzie pióra i sztuki do filmu, który przez dwadzieścia lat niepodległości dla kultury zrobił bardzo mało, a w wielu wypadkach odegrał rolę zdecydowanie szkodliwą. Po drugie — film w odrodzonej Polsce dopiero „ząbkuje", niczym się jeszcze nie wykazał poza kilkunastoma kronikami i paroma filmami dokumentarnymi. Po trzecie wreszcie, tyle jest spraw palących i pilnych, spraw, że się tak wyrażę z kategorii „chleba codziennego", że o filmie, rozrywce i luksusie, po prostu się zapomina.

A jednak w planowej akcji odbudowy, do której wszyscy jesteśmy zmobilizowani, nie może zbraknąć filmu. Mało tego — akcja ta bez wciągnięcia filmu nie będzie tak skuteczna, jakby być mogła. Wszelkie ustalanie programów czy to w zakresie szkolnictwa, czy wydawnictw książkowych, musi być prowadzone z uwzględnieniem możliwości popularyzatorskich i propagandowych filmu i kina. Przy dzisiejszej niesłychanie ubogiej sieci kinoteatrów co najmniej trzy miliony ludzi przechodzi miesięcznie przez sale kinowe. Do trzech milionów ludzi mówią ekrany. Zestawmy tę cyfrę, która ma swoją wymowę, z nakładami pism, czy z ilością rozesłanych egzemplarzy broszur propagandowych, a przekonamy się, jaką siłę atrakcyjną reprezentuje kino, docierając tam, gdzie nie sięga gazeta, nie mówiąc już o książce.

Można zgadzać się lub nie zgadzać z powiedzeniem, że wiek XX jest wiekiem filmu, tak jak XIX był wiekiem literatury. A jednak w tym pozornie reklamiarskim określeniu jest dużo prawdy. Film, jako sztuka syntetyczna, stokroć lepiej rejestruje złożoną i skomplikowaną rzeczywistość niż książką czy obraz. Rejestracja ta wprawdzie nie zawsze idzie w parze ze znalezieniem odpowiedniego wyrazu artystycznego — i tu przeciwnicy kina mają najczęściej rację. Rację bolesną dla entuzjastów filmu, którzy zdają sobie sprawę, że precyzyjny, czuły instrument, dostał się w niepowołane ręce. Ale równie dobrze można by uważać mikroskop za zbędny, ponieważ Hotentoci nie umieją się z nim obchodzić.

Praktyka zagraniczna wykazała niezbicie, że film może tworzyć i dzieła sztuki i stanowić nieocenioną pomoc w upowszechnianiu kultury. Pięćdziesiąt lat istnienia kinematografii przekonało najbardziej sceptycznych, że wynalazek braci Lumière i Edisona przerodził się w czynnik twórczy; bez jego współudziału świat wyglądałby inaczej, inni bowiem chodziliby po nim ludzie. Każdy człowiek miasta ma w swoim sposobie myślenia i reagowania na zjawiska zewnętrzne — chwyty i podejścia, które są trwałymi śladami działania ekranów. Psychologia i socjologia tylko na marginesie zajmowały się tymi zagadnieniami, bo odpowiednio przeprowadzone badania dałyby na pewno rewelacyjne rezultaty.

To głębsze traktowanie filmu, jako siły współtwórczej w budowie nowej rzeczywistości, jest rzadkością nawet u ludzi, którzy skąd inąd doceniają rolę propagandową kina. Jeżeli chcemy zmobilizować, a możemy i powinniśmy to zrobić, film w odrodzonej Polsce do kulturalnej pracy, musimy przede wszystkim strzec się wszelkich półśrodków i niewłaściwego ujmowania tego bardzo ważnego zagadnienia. Mobilizacja kina może być i jest niestety najczęściej pozorna. Wielu działaczom społecznym i oświatowym, wielu stowarzyszeniom o szczytnych i zasługujących na poparcie celach — wydaje się, że kina w odrodzonej Polsce to źródło łatania budżetów i wspaniały sposób znalezienia dodatkowych dochodów. Ludziom tym potrzeby dnia przesłaniają jutro, stokroć właściwie dla nich ważniejsze. Jeżeli ta czy inna organizacja oświatowa poprosi, by jej oddali pewien udział dochodów kinowych, to może rzeczywiście ułatwi to jej życie, ale jednocześnie uszczupli fundusze na budowę atelier filmowego i na produkcję filmów. To samo dzieje się, jeżeli zabiera się salę kinową na jakąś imprezę teatralną czy muzyczną. Oczywiście trzeba tu wprowadzić, jak wszędzie i zawsze, rozróżnienia.

Filharmonia łódzka, dopóki nie znajdzie odpowiedniego lokalu, musi grać w sali kinowej, ale nie jest to powodem dla unieruchomienia ekranu z racji rewii, czy estradowego piosenkarstwa. Trzeba wyraźnie stwierdzić, że dochody kina winny być obracane przede wszystkim i wyłącznie na potrzeby odbudowującego się przemysłu filmowego. Jak we wszystkich innych dziedzinach życia gospodarczego, tak i tu — samowystarczalność w rekonstrukcji jest nakazem chwili.

Tyle o mobilizacji pozornej kina. Nie rzadsza i nie mniej groźna jest mobilizacja powierzchowna. Tu już punkt ciężkości przeniesiony jest z sali na wyświetlany film. Żąda się, żeby filmy były „propagandowe", żeby działały w odpowiedni sposób na widza. Nie wchodzi się przy tym w takie szczegóły, jak artystyczne oblicze filmu, ale po prostu wymaga się, by coś zrobiono na żądany temat, byle jak i byle prędko. Chodzi przede wszystkim o tytuł, potem słowa niewidzialnego speakera, a dopiero gdzieś na samym szarym końcu o obraz. Oczywiście, że film sporządzony pod tym kątem widzenia, jest tylko nędznym falsyfikatem propagandy, a jego oddziaływanie na widza ma często wręcz odwrotne skutki. Widz wychodzi z kina nie przekonany ale zirytowany. Dzieje się to dlatego, że człowiek cywilizowany nie lubi być traktowany jak dzikus.

I wreszcie mobilizacja właściwa. Zrozumienie delikatności i precyzji używanego instrumentu i równoczesne znalezienie czy też wykształcenie wirtuozów, którzy potrafią na nim zagrać. Nie jest to praca łatwa, ani szybko przynosząca rezultaty. Nie na miesiąc czy rok, ale na długie lata; im wcześniej się do niej zabierzemy, tym dla kultury polskiej lepiej. Zacząć pracę trzeba od podstaw, od fundamentów i to nie tylko w materialnym sensie. Naturalnie bez hal do zdjęć, bez laboratoriów, aparatów do zdjęć, bez odpowiedniej ilości kin — nie wiele można zdziałać. Ale to nie wszystko. Film nie będzie służył upowszechnieniu kultury, jeżeli sami jego twórcy nie będą posiadali kultury filmowej. W sztuce syntetycznej, jaką jest film, zdobycie kultury nie jest rzeczą łatwą, trzeba bowiem mieć kulturę plastyczną (kompozycja obrazu na ekranie), kulturę żywego słowa (gra aktora) i kulturę muzyczną (dźwięk). Dobry reżyser czy dobry producent filmowy muszą być ludźmi wszechstronnie uzdolnionymi i czułymi na wszelkie przejawy oddziaływania artystycznego. Jeżeli w dziele filmowym brak jednego z elementów, całość na tym cierpi.

I jeszcze jedno. Ludzie, którzy chcą tworzyć sztukę filmową w odrodzonej Polsce, muszą poza wszelkimi niezbędnymi walorami artystycznymi posiadać wyraźną postawę społeczną. Przed wojną kino polskie było jakąś dziwną mieszaniną pseudopatriotycznych tanich wzruszeń, ckliwego sentymentalizmu białodworkowego, knajpiarskich dramatów i „głębokich" problemów matrymonialno-trójkątowych na poziomie dobrych rad pani Zofii. Prawdziwego świata i prawdziwych ludzi w filmach sprzed 1939 roku prawie nie było, ówczesny bowiem przemysł filmowy był kontrolowany przez ludzi, którzy panicznie bali się szczerych akcentów społecznych.

Rzeczywistość dzisiejsza nie zawsze jest różowa i radosna, ale film nie może się bać prawdy, nawet jeżeli jest bolesna. Powinien być lekarzem, który nie ukrywa przykrej diagnozy, ale stara się wyleczyć pacjenta — powinien być nauczycielem, który pokazuje właściwą drogę i metodę przyswojenia sobie nowych wiadomości. I to wszystko nie w nudnym pedantycznym sensie jakiejś szkolarskiej piły, ale z żywym stosunkiem do dzieła sztuki. Przykład powinniśmy przede wszystkim brać z kinematografii radzieckiej, w której użyteczność społeczna produkcji filmowej jest podstawowym aksjomatem.

Każdy nowy polski film, który się ukazuje na ekranie, musi mieć ciężar gatunkowy, musi być potrzebny. Musimy wyraźnie skończyć z kategorią filmów, bez których się można obejść, nic nie znaczących, ot takich sobie, ani dobrych ani złych. Jak nie wolno wydawać dziś książek niepotrzebnych, tak lekkomyślnością było by realizowanie filmów bez społecznej racji bytu. Instrument, który przemawia do mas, musi być używany celowo. Nie wolno o tym zapominać, jeżeli chcemy po tylu latach marnotrawstwa, po tylu latach błądzenia — znaleźć wreszcie w filmie to, czym jest w swej istocie i założeniu — wspaniałym instrumentem upowszechnienia kultury.

W OCZACH PISARZY*)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

SPRAWA WYOBRAŹNI

Mimo że oszczędziły mnie łapanki i blokady, nie udało mi się przeżyć tej wojny „psim swędem" i nie było mi dane kontynuować zainteresowań, przyzwyczajeń czy chociażby sympatii myślowych sprzed jej wybuchu. Tak, że nie potrafię dzisiaj ewokować nawet w formie schematycznej tego kogoś, kim kiedyś byłem, myślałem i trudziłem się. W pobliżu, niekiedy tak blisko, że jeszcze ciepłą miałem od uścisku rękę, stawały się śmierci, które obchodziły mnie jak własne życie. Naokoło powstawały wciąż nowe, puste miejsca, gdzie jeszcze wczoraj, jeszcze przed godziną biło, zdawało się, serce dostępnego mi świata i rozlegał się głos człowieka. Przeżywałem wojnę tak wielokrotnie, że już utraciłem świadomość faktu, że się zaczęła w pewnej określonej chwili i nadziei, że się kiedyś skończy. A wszystko odbywało się w sposób naturalny, w wielkim mieście, na oczach, chciało by się powiedzieć, świata.

Ostateczny sens spraw ludzkich narzucał się przy każdym wspomnieniu i każdym pomyśleniu w przód. Wieczność działa się powszednio jak dzień lub zachód słońca. Wieczność w postaci zaprzeczenia jedynych na Ziemi wartości: humanistycznych. Świadomość, że ta nieprawdopodobna zdolność wzruszenia, tamten talent myślenia, ten wzrok zdolny skonstruować nową harmonię barw, ginęły jak drzewo zrąbane w lesie lub dom zburzony przez bombę — odbierała wolę życia i wiarę w sens tego życia. Sztuka tworzenia poezji czy umiejętność układania fikcji życiowych w powieściowych wątkach wydawały się zajęciami niepoważnymi wtedy, gdy się istota człowieczeństwa zaprzeczała. Poète cherchant le rime (słowa Valéry'ego) wydawał się postacią z komedii. Wtedy, gdy wszystkie słowa układały się same w: „wieczne odpoczywanie".

Nie wiem czy słuszne będzie, jeśli powiem, że poszanowanie dla wartości słowa, które w jedyny, sakralny sposób winno być zastosowane, odebrało mi zdolność pisania. Może, i prawdopodobniej, lęk przed własnym nieopanowaniem, by nie zabić patosem wzruszeń, których nawet pomyśleć wiernie nie umiałem.

*

Obecnie po pięcioletniej niemal zupełnej artystycznej abstynencji powróciwszy do zajęć poety nie potrafię myśli i zmysłów wyzwolić z absorbujących je wciąż zjawisk i przeżyć tego „czasu morderców". Świat nieobecnych na Ziemi jest tak samo w mojej świadomości konkretny jak konkretne jest nieistnienie miasta, w którym żyłem. Są to realia, których nie mogę uniknąć. Ich sens negatywny jest jednak tak samo sprawdzalny jak ziemia i niebo w tym rzeczywistym świecie, gdzie wraz z domem, w którym mieszkałem, spalił się widok z okna, na który patrzałem.

Po doświadczeniach wojennych i latach nieufności artystycznej poezja, do której powróciłem, straciła wiele ze swoich dla mnie powabów. Być może, wojna po trosze sparaliżowała moją zdolność odczuwania, bo nie doznaję tego, co obiektywnie biorąc ma swoje miejsce w rzędzie poetyckich wartości. Uogólnienia retoryczne lub wzruszenia — typy, gdzie w sposób skończony uwyraźnia się jakiś „powszechnik" liryczny środowiska. Albo „martwe natury" ewokujące realia już będące, powtarzające sens zjawisk byłych już raz, a więc ostatecznie.

Wierzę tylko w taką poezję i tylko taką pragnę się trudzić, która by dała pierwszy wyraz wzruszeniom człowieka, ujmującym ostateczny sens jego spraw. Ostateczny tu na Ziemi. Tylko na Ziemi. Bo wyobraźnia poetycka przyśpiesza doznawanie zjawisk, lecz nie mistyfikuje i nie stwarza pozorów. Nie schodząc z pola widzenia, słyszenia i dotykania, wydaje mi się, należy przynajmniej zmierzać do wysubtelnienia zdolności doznawania tak dalece, by odkrywać nowe wzruszenia człowiekiem, jak nauka odkrywa nową o nim wiedzę. Bo poezja jest sprawą wyobraźni, wyobraźni, która nie jest niczym innym jak zespołem najczulszych teleskopów, kamertonów i metra. Świat przeżyć poetyckich zrealizowany wyobraźnią nie wydaje się, by był mniej humanistyczny i mniej sprawdzalny niż retoryczne ujęcie świata rzeczywistego.

Świat wyobraźni ma te same co świat przedmiotów wymiary, tylko miary winny być subtelniejsze.

Usiłując porozumieć się z nieistniejącym już człowiekiem lub wyrazić świat z czasów mojego na nim jeszcze nieistnienia, powiększam zakres i zdolność doznawczą tych samych, używanych do realnych ludzi, krajobrazów i przedmiotów — zmysłów.

Czując w powietrzu, którym oddycham, ułamek westchnienia nieobecnego człowieka, słysząc w milczeniu jego głos przebrzmiały — wzbudzam w sobie akt wyobraźni nie wychodząc poza zdolność doznawania świata wpojoną przez zmysły.

Utwory, głównie po wyzwoleniu napisane, zawarte obecnie w zbiorze, który się właśnie ukazał pod tytułem „Sprawa wyobraźni" taką ideologią artystyczną się legitymują.

Zbigniew Bieńkowski

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, T. Brezy, J. Brzostowskiej, K. Czachowskiego, T. Czyżewskiego, H. M. Dąbrowolskiej, St. Flukowskiego, M. Jastruna, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kurka, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, J. Przybosia, H. Wielowieyskiej, E. Szelburg-Zarembiny, J. Zawieyskiego i J. Zagórskiego w nr nr 19—28 oraz w nr nr 30—33 „Odrodzenia".

PO PROSTU

Uczone gęsi i profesorowie uniwersytetu

Niesłusznie kpili humoryści z pięknego szyldu na jednym z większych budynków w Łodzi: **„Ministerstwo Kultury i Sztuki. Baza zoologiczna".** Podział władz i uprawnień państwowych jest zawsze tajemniczy i zagadkowy. Kina, jak wszyscy wiemy, podlegają Ministerstwu Informacji i Propagandy, cyrki i ogrody zoologiczne znajdują się pod zarządem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Można by się ostatecznie na to zgodzić, ale przypatrzmy się konsekwencjom. Otóż bardzo niewielu ludzi w Polsce wie, że zwierzęta, występujące w cyrkach, noszą oficjalnie i formalnie tytuły artystów. Co więcej, podobnie jak ich dwunożni koledzy, pobierają gaże według specjalnie prowadzonej listy płac. Gaże te zależą oczywiście od wysługi lat, zdolności i talentu. Tygrysy, niedźwiedzie, uczone gęsi i tresowane pchły podzielone są na artystów pierwszej, drugiej i trzeciej kategorii, — podobnie jak akrobaci, klowni i linoskoczki. Prestidigator otrzymuje za swój występ 7 punktów, albo tak zwanych „marek", niedźwiedź cztery punkty, jego pogromca pięć punktów, uczone gęsi dostają jedynie po dwa punkty. Po obliczeniu kasy dochód dzieli się wśród artystów proporcjonalnie do ilości posiadanych punktów. W średniowieczu zwierzęta odpowiadały za przestępstwa według przepisów zwykłego prawa karnego. Zachowały się w rocznikach sądowych wyroki, mocą których wilk skazany został na łamanie kołem i poćwiartowanie za pożarcie dziecka. Nic więc dziwnego, że w ustroju demokratycznym tresowane zwierzęta zaliczone zostały do... nadzwyczajnych urzędników Ministerstwa Kultury i Sztuki. Niepokojąca w tym wszystkim jest jedynie sprawa wysokości zarobków czworonożnych aktorów. Po przejrzeniu rachunków cyrku w Łodzi okazało się, że tresowany niedźwiedź zarobił w pierwszym tygodniu czerwca 7 253 złote. Para uczonych gęsi, proletariuszy cyrkowych, zarobiła w tym samym czasie jedynie niepełne 4 000 złotych.

Pensja starszego asystenta na uniwersytecie wynosi po wliczeniu wszystkich dodatków zł 650 miesięcznie. Profesor nadzwyczajny pobiera zł 1 290 miesięcznie, a uposażenia profesora zwyczajnego dochodzą do zawrotnej sumy 1 600 złotych. Mimo że pensje wykładowców szkół wyższych mają zostać w najbliższym czasie podwyższone o 150%, wątpię, aby nawet tresowane gęsi zgodziły się wykładać na uniwersytetach.

Nie jestem przeciwnikiem cyrku. Uwielbiam żonglerów, podziwiam tancerzy na linie, zamieram z lęku, kiedy pogromca wkłada głowę w paszczę tygrysa. Mimo to nie wierzę, aby klown, jak pisał niegdyś w „Zwrotnicy" Tadeusz Peiper, był „artystą absolutnym", aby sztuka odrodzić się miała ze zwycięstwa formy nad treścią, której najdoskonalszym symbolem miała być niema zręczność prestidigatora. Sądzę natomiast, że cyrk, zależnie od kierownictwa, odegrać może pożyteczną lub szkodliwą rolę kulturalną jako najbardziej masowe widowisko. Przedstawienia cyrkowe cieszyć się będą zawsze większym powodzeniem od poranków poetyckich. I dlatego nie wolno cyrków zaniedbywać, i dobrze, że cyrk znalazł się pod opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki. Idzie mi jedynie o zachowanie należytych proporcji, o zrozumienie różnicy w wadze gatunkowej cyrków i uniwersytetów dla kultury polskiej. Zdaję sobie jasno sprawę, że stołówka dla lwów, tygrysów i niedźwiedzi musi być lepiej zaopatrzona i więcej kosztować od kuchni dla profesorów uniwersytetu czy pisarzy. Tym niemniej jednak uważam, że jest objawem skandalicznym i niedopuszczalnym, aby uczona gęś zarabiała w ciągu jednego wieczora tyle, ile starszy asystent uniwersytetu dostaje za miesiąc pracy, aby tresowany niedźwiedź otrzymywał pensję siedemnastokrotnie wyższą od zwyczajnego profesora akademii.

Nauka polska przeżywa niezmiernie trudny okres. Brak nam nie tylko profesorów, brak nam przede wszystkim młodych sił naukowych. Obliczając straty, jakie zadał nam okupant, nie wolno nam zapominać, że już przed wojną liczba pracowników naukowych była w Polsce zastraszająco niska. Od skończenia uniwersytetu do chwili habilitacji upływa przeciętnie lat dziesięć. Okres ten można skrócić o połowę, o ile asystent uniwersytetu będzie mógł cały swój czas poświęcić pracy naukowej. Musi mu ona jednak zapewniać utrzymanie. Nie wolno nam dopuścić, aby na drogę kariery uniwersyteckiej wstępowali jedynie gwałtownicy wiedzy, wyzuci z wszelkich potrzeb lub też niedołęgi życiowe, niezdolne do tak zwanych „praktycznych" zajęć. Pamiętajmy, że czas pracuje przeciwko nam. Jeżeli bowiem przez dziesięć najbliższych lat nie potrafimy wykształcić nowych profesorów, połowa katedr uniwersyteckich w Polsce opustoszeje.

Cyrki przyniosły w ciągu ostatniego miesiąca milion złotych czystego zysku. Nie obawiajmy się eksperymentów, przeznaczmy dochód z cyrku na cele naukowe! Milion — to pięćset stypendiów po 2 000 zł. Niech uczone gęsi i tresowane niedźwiedzie pracują na przyszłych profesorów uniwersytetu.

Jan Kott

Zmierzch „Londynu"

Stefan Litauer. Zmierzch „Londynu". Warszawa, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945; str. 53 i 3 nl.

Seria artykułów, z którą przed niedawnym czasem wystąpił w prasie, ostatnio zaś ogłosił w osobnej broszurze Stefan Litauer, wzbudziła żywe zainteresowanie.

Zamknięci przez sześć lat w odosobnieniu, informowani jednostronnie i niewystarczająco przez tajną prasę, która po największej części uprawiała ducha „londyńskiego", odczuwamy żywo potrzebę poznania co i jak było. Toteż wydawnictwa polityczne mogą liczyć na popularność i popyt.

Stefan Litauer ma wiele do powiedzenia o naszej emigracji, którą sam przeżywał. Zadomowiony w Londynie od długiego czasu, posiadający rozległe stosunki w angielskim świecie politycznym i dokładną jego znajomość, jest autorem szczególnie kompetentnym pod względem informacyjnym, zwłaszcza że brał sam udział w szeregu doniosłych akcji politycznych. W charakterze prezesa związku korespondentów prasy obcej w Londynie, uczestniczył tam w pierwszych krokach Sikorskiego, był też jego współpracownikiem w ułożeniu memoriału w sprawie tworzenia Armii Polskiej z jeńców w Rosji i pośredniczył w przekazaniu go czynnikom sowieckim. Nawet jeśli wziąć pod uwagę możliwość subiektywnego określania spraw i osób, świadectwu jego wypadnie przypisywać poważną wartość.

Cała sympatia Litauera skupia się na osobie Sikorskiego, pod którego urokiem znajduje się najwidoczniej. „Sikorski był człowiekiem na wskróś uczciwym, brzydził się intrygą i podstępem, a lojalność cenił". Tej charakterystyce osoby towarzyszy chlubna ocena Sikorskiego jako polityka. „Politycznie był przekonanym zwolennikiem ustroju demokratyczno-parlamentarnego, zdecydowanym przeciwnikiem faszyzmu, antysemityzmu i wszelkiego wstecznictwa". „Dodajmy do tego, że był obdarzony dużym zmysłem inicjatywy, wielką inteligencją i wnikliwą intuicją", a otrzymamy szkic portretu jednego z najwybitniejszych naszych współczesnych mężów stanu, którego taki obraz niewątpliwie ustali się i w dalszej przyszłości.

Już w listopadzie 1939 roku nakreślił Sikorski pierwsze tezy współpracy z Rosją Sowiecką, nazajutrz po napaści Niemiec na Rosję zgłosił gotowość porozumienia Polski z Rosją i wbrew największym przeszkodom ze strony „polityków" podpisał 30 lipca 1941 roku układ bez zgody Wł. Raczkiewicza i bez pełnomocnictwa, a w grudniu tegoż roku, w najkrytyczniejszym dla Rosji momencie złożył wizytę na Kremlu. Tak twardo i niezłomnie trwał przy swej diagnozie o sile militarnej i politycznym znaczeniu Rosji wbrew sugestywnym pozorom, stwarzanym przez niepowodzenia rosyjskie w pierwszym okresie wojny. Trzeba też sobie uprzytomnić, w jakim stopniu odrywał się Sikorski od pojęć i poglądów środowiska, dokonywał przewrotu w dyplomatycznej orientacji naszych kół oficjalnych, by znaleźć miarę dla jego indywidualności i ocenić umysł.

Raczkiewicz i kancelaria cywilna, Sosnkowski i hotel Rubensa, gen. Anders, Mackiewicz i Nowakowski — to skróty pojęciowe dla trudności, którymi najeżona była droga Sikorskiego.

„Utraciwszy rozum w mękach długich
Piwali na siebie, żarli jedni drugich",

można by powiedzieć o atmosferze emigracji słowami, których użyto również dla emigracji, wcześniejszej o sto kilkadziesiąt lat. Sprawy te rzuciły dramatyczne cienie na ostatnie lata życia Sikorskiego. Zabrakło mu też pod koniec odporności wobec goebbelsowskiej prowokacji Katynia. Litauer, który nie jest ślepy na niektóre błędy Sikorskiego (np. obciążenie się Sosnkowskim), w tym miejscu usiłuje usprawiedliwić Sikorskiego i zdjąć z niego całkowicie odpowiedzialność za stanowisko rządu emigracyjnego wobec grubego falsyfikatu hitlerowskiej propagandy:

„Generał Sikorski był złożony grypą i bardzo wycieńczony. Poza tym gryzł się niepowodzeniami swojej polityki zbliżenia polsko-rosyjskiego. Leżąc w łóżku z gorączką nie mógł się zająć sprawą katyńską osobiście. Zaufał jej załatwienie trzem członkom rządu (Kukielowi, Kotowi i Raczyńskiemu)". Jak to się często zdarza monografom, autor popada w apologię i usiłuje zatrzeć potknięcie bohatera, skądinąd słusznie adorowanego głęboko.

Na 8 rozdziałów swojej książki 5 poświęcając okresowi do śmierci Sikorskiego, Litauer nie ogranicza się tylko do roli Sikorskiego. Część pozostała traktuje o okresie po konferencji teherańskiej i powstaniu warszawskim. Tu zwraca uwagę sprawa zlikwidowania przez Niemców pod koniec 1943 roku dowódcy AK generała Grota. Litauer pisze o tym dosłownie:

„Został on nagle zatrzymany przez agentów Gestapo na jednej z ulic Warszawy i już potem wszelki ślad po nim zaginął. W Londynie starano się przedstawić tę sprawę jako przypadkowe aresztowanie w czasie ulicznej łapanki. Jest jednak faktem, jak to się potem ujawniło, że żadnej łapanki nie było i że generał Grot padł ofiarą indywidualnie przeciwko niemu skierowanej akcji Gestapo. Istnieją wszelkie poszlaki, że akcja ta nie była oderwanym posunięciem Gestapo, lecz że nici tej afery sięgają dalej. Generał Grot był wielu czynnikom AK niewygodny. Był on przede wszystkim żołnierzem i to żołnierzem wybitnym. Przesłanki polityczne mniej go interesowały i nie dałby się tak łatwo użyć dla rozmaitego rodzaju awantur politycznych, a walki bratobójcze stanowczo potępiał. Generał Grot wybrany był w swoim czasie przez generała Sikorskiego".

Wszczęta w ten sposób tragedia Grota czeka wyświetlenia. Jest również garść uwag o genezie powstania sierpniowego. Prawdopodobnie w historiografii, która się na ten pasjonujący temat rozwinie, poważną rolę odegra rzecz znana, którą notuje Litauer lakonicznie: „Mikołajczyk i inni ministrowie później zaprzeczali, że hasło do powstania wyszło z Londynu" (str. 41). Sam jednak gotów jest szukać kłębka nici powstańczej właśnie w Londynie (str. 42).

Ostatni rozdział, publicystyczny, zawiera analizę sytuacji około lutego 1945 roku i trafną przepowiednię bankructwa emigracyjnej fikcji, której podstawę stanowiła błędna i szkodliwa kalkulacja na rozdźwięki i konflikt między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi a Rosją.

„Żywot „Londynu" kończy się" — pisał wtedy Stefan Litauer, konkludując. Dziś „Londyn" dobiegł swego kresu, obalony falą historycznych wydarzeń, których nie rozumiał i którym nie umiał nadążyć. Grube błędy jego nie dadzą się usunąć z przeszłości. W miarę głębszego wyświetlania spraw poruszonych w broszurze Litauera, można je będzie dokładniej poznać i określić rozmiary szkód, wyrządzonych Polsce przez małych polityków, zaskoczonych przez wielki czas. I rozmiary strat, które długo jeszcze wypadnie odrabiać.

Józef Sieradzki

Z życia muzycznego Krakowa

Najwymowniejszym znakiem naszego odradzającego się życia muzycznego był koncert polskiej muzyki kameralnej w Sali Senatorskiej na Wawelu, zorganizowany przez wydział koncertowy Związku Zawodowego Muzyków. Tak program, obejmujący utwory o wielkiej wartości i rzadko wykonywane, jak i artyści, którzy podjęli się ich interpretacji, wszystko stało tu na bardzo wysokim poziomie artystycznym. S. S. Szarzyńskiego sonata na dwoje skrzypiec z towarzyszeniem fortepianu, Chopina trio g-moll op. 8 na fortepian, skrzypce i wiolonczelę, Juliusza Zarębskiego kwintet fortepianowy op. 34 (na fortepian i kwartet smyczkowy) i Karola Szymanowskiego „Mity" na skrzypce i fortepian — oto ciekawy przekrój polskiej twórczości muzycznej ostatnich trzech stuleci. Nie są to oczywiście jedyne indywidualności, które na tym okresie zaważyły, ale bodajże najbardziej twórcze, najbardziej samodzielne talenty i najbardziej „polską" postawę reprezentujące. Ta ostatnia cecha najmniej dotyczy S. S. Szarzyńskiego, którego muzyka — jak cała niemal muzyka polska XVII i pierwszej połowy XVIII wieku — znajduje się pod silnym wpływem włoskim. Da się za to zastosować w całej pełni do Chopina i do Szymanowskiego. Trio Chopina jest utworem wczesnym i równocześnie niezmiernie znamiennym: poza kilku kompozycjami na wiolonczelę i 17 pieśniami jest ono jednym z nielicznych jego dzieł dopuszczających do głosu inne instrumenty poza fortepianem. Niezwykle silny subiektywizm poetyki szopenowskiej znalazł tu swój wyraz: Chopina jako kompozytora nie interesuje właściwie nic poza tym, co sam może wykonać jako pianista. Podobnie jak w jego koncertach fortepianowych obok genialnie napisanego partu solowego cała część orkiestrowa przedstawia się nader skromnie, tak w trio op. 8 — jako w utworze młodzieńczym — dysproporcja ta zaakcentowana została jeszcze silniej. Partia fortepianowa wykazuje już w niejednym miejscu wyraźne cechy późniejszego stylu szopenowskiego (finale), natomiast skrzypce i wiolonczela prowadzone są przeważnie po prostu muzycznie. Za to „Mity" („Fontanna Aretuzy", „Narcyz", „Driady i Pan") to jeden z najświetniejszych utworów Szymanowskiego, pochodzący ze środkowego okresu jego twórczości. Daleki od założeń prostej ilustracji muzycznej jest najwspanialszym chyba we współczesnej literaturze skrzypcowej przykładem wyzyskania dźwiękowo-barwnych możliwości skrzypiec i fortepianu na usługach wyrazu muzycznego. Bardzo ciekawą kompozycją jest kwintet Zarębskiego, przedwcześnie zmarłego polskiego ucznia Franciszka Liszta. Wyczuwa się w nim osobowość artystyczną nie zupełnie jeszcze ukształtowaną, nie zupełnie dojrzałą, ale w każdym takcie talent samorodny, absolutnie samodzielny. Nie znać tam prawie obcych wpływów, wszystko jest własne, niektóre fragmenty napisane z olbrzymim nerwem, z silną dynamiką wewnętrzną (scherzo!).

Zofia Adamowska, Jan Hoffman, Józef Mikulski, Tadeusz Ochlewski, Mieczysław Szaleski, Janina Wysocka-Ochlewska i Eugenia Umińska — oto nazwiska artystów, którzy wystąpili jako wykonawcy w tym koncercie kameralnym. Podziwiać należy wszechstronność Umińskiej, która z taką łatwością potrafiła przerzucać się w style muzyczne zasadniczo różne, w każdym z nich dzierząc „pierwsze skrzypce". Pięknie wykonała zwłaszcza „Mity", gdzie zgranie się i zestrojenie dźwięku z fortepianem było naprawdę znakomite. Nie słyszeliśmy w Polsce wykonania fortepianowej partii „Mitów", które muzycznie stało by na tej wysokości, jaką reprezentował Jan Hoffman. Wszystko tam było wyczyselowane do najdrobniejszych szczegółów. Świetną kameralistkę poznał Kraków w osobie Janiny Wysockiej-Ochlewskiej. Dźwięk fortepianu i jego stosunek do instrumentów smyczkowych w kwintecie Zarębskiego był bardzo umiejętnie dozowany, a w tego rodzaju kompozycjach jest to trudne do osiągnięcia.

„VERBUM NOBILE" MONIUSZKI

Tym razem „prawdziwa" opera, na scenie, z dekoracjami, kostiumami i orkiestrą. Godny uznania wysiłek kilku artystów, którzy z największym trudem, w bardzo ciężkich warunkach, bez niczyjej pomocy, bez subwencji montują spektakl.

I publiczność przychodzi istotnie do Teatru Domu Żołnierza, ale przede wszystkim dlatego, że jest w ogóle spragniona opery. Bo samo „Verbum nobile" jest pod względem swej artystycznej wartości niewątpliwie słabszym utworem Moniuszki i nie dorównuje ani w części pięknościom „Halki" czy „Strasznego dworu". Nie ma w sobie tego bogactwa inwencji, tego bezpośredniego uroku melodii, jest w wielu miejscach pusta, bez treści. Fragmenty naprawdę piękne, jak śpiewany przez wiejską gromadę w pierwszej odsłonie chór „Jak lilia w rozwoju z wiosną wdzięczny kwiat" lub bardzo charakterystyczny polonez należą raczej do rzadkości. Tekst „Verbum nobile" (pióra Chęcińskiego, który pisał libretto także do „Strasznego dworu" i do „Parii"), jest naiwna gloryfikacją szlacheckiego słowa honoru danego staremu przyjacielowi przez pana Stanisława Ładogę, że kiedyś dzieci ich połączą się węzłem małżeńskim. Uczynienie z niego centralnego punktu konfliktu wydaje nam się dziś czymś tak odległym, że prawie niezrozumiałym. Na szczęście Moniuszko sam nie traktuje tego tekstu zbyt poważnie, robi z niego widowisko muzyczne na wpół poważne, a na wpół humorystyczne, coś w rodzaju polskiej „opera-comique". Na to jednak znów ma jego muzyka za mało dowcipu i finezji, tak że w całości zamierzenie jest raczej chybione.

Wykonanie „Verbum nobile"? Dość niejednolite — inaczej być nawet nie mogło w tych warunkach. Soliści byli wszyscy poprawni: **R. Urbanowicz** dzięki dużej rutynie operowej, którą najwidoczniej ma, **A. Wolak** dzięki swemu pięknemu materiałowi głosowemu, **Z. Biliński** w roli sługi Bartłomieja przez dobre uchwycenie rysów charakterystycznych swej partii. **A. Tarska** w partii Zuzi była urocza, pełna prostoty, śpiewała bardzo muzykalnie i pewnie. Na czoło zespołu wybił się **Cz. Kozak** nie tylko jako śpiewak o ładnie brzmiącym głosie i dużej muzykalności, ale też jako pełen temperamentu aktor. Dobrze brzmiały chóry i orkiestra, ale dlaczego ustawicznie w niezgodzie z solistami? Całość szyła była trochę grubymi ściegami — ale pierwszy krok został zrobiony. Przy pewnej pomocy i postawieniu właściwych ludzi na właściwych miejscach, a przede wszystkim przy umiejętnym kierownictwie może się z niej z czasem wyrobić niezły zespół operowy.

Stefania Łobaczewska

Podróż udręczeń

Kilka dni temu byłem w Łodzi. Fakt ten nie miał najmniejszego wpływu na ogólnoludzkie zdarzenia i może nie warto by go nawet wspominać.

Tysiące ludzi odjeżdża do przeróżnych Bochni, Bałut, Wieliczek i też nie oddziaływa to na galop historii. Wypadki toczą się swymi oficjalnymi torami a my kupujemy papierosy, tępimy żyletki i nie spada z tego powodu nawet popiół z cygara dziejów.

A jednak ludzie golą się, czytają mnóstwo rzeczy, które niestety nie zostały zniszczone na skutek działań wojennych, jeżdżą tramwajem, udają się do Łodzi i trębacz na wieży Mariackiej nie przestaje się z tego powodu jąkać.

Bo czyż każde zdarzenie z naszego biednego, zaściankowego życia musi mieć historyczny rezonans? Zapytajcie cieniów Napoleona, ile genialnych sposobów wycierania nosa uszło uwadze historyków a padniecie pod ciężarem własnego pytania.

Te banalne myśli snuły się po mej skołatanej głowie, kiedy z zemsty za niewygody podróży dziurawiłem walizkę pewnej damy, która na plecach miała guzik wielkości pięciozłotówki.

Podróż do Łodzi nieoglądanej od dziesięciu lat powinna być uciechą, na którą, jakby powiedział pewien pisarz przemawiający do wieków, my pokolenie gnuśne i zdemoralizowane, nie powinniśmy sobie pozwolić. Niestety pozwalamy sobie i uciecha ta dzięki współczesnym środkom komunikacji zamienia się w odwrotność.

Podróż z Krakowa do Łodzi powinna trwać siedem godzin a trwa osiemnaście z okładem.

Podróż powrotna samochodem ciężarowym powinna trwać pięć godzin a trwa czternaście z dokładką.

Razem trzydzieści dwie godziny, czyli pasażer zmienia miejsce swego pobytu z prędkością mniej więcej pięć razy większą od galopującego muła.

W dobie pieszych podróży prędkość ta jest zdumiewającą szybkością.

I tu okazuje się jak w każdym tragicznym zdarzeniu odnaleźć można istotny sens rzeczywistości: optymistyczny uśmieszek, który tak wyszydzał pewien deista pobierający łapówki.

W stronę Łodzi, jeśli to kogo interesuje, jedzie się w wagonie służbowym za okazaniem jakiegokolwiek papieru z pieczątką, w stronę Krakowa, jeśli kto jest zwolennikiem motoryzacji, jedzie się bez pieczątki. Zawdzięczamy to samochodom pewnej państwowej firmy transportowej.

Służbowo zazwyczaj jedzie się w bardzo rozmownym towarzystwie mleczarek, obarczonych niezliczoną ilością sera. Samochodem jedzie się w towarzystwie pokaźnych worków towaru. Towar ten stanowi bardzo miękkie i bardzo wygodne siedzenie. Jeśli warunki praktyczne służą temu sposobowi utrzymywania ciała, podróż taka ma przebieg monotonny.

W obu wypadkach podróż należy jednak do niezapomnianych doświadczeń niezorganizowanego życia.

Moja droga powrotna, jeśli ktoś pragnie z mych wynurzeń wyciągnąć wskazówki pożyteczne dla swego życia, odbywała się pod znakiem niezapomnianych doświadczeń.

Jechałem skromnym kącikiem swej osoby pomiędzy rozłożystymi plecyma pewnej uroczej obywatelki, posiadającej na lewej łopatce wspomnianej wielkości guzik, a pomiędzy beczką benzyny, na której siedziało bardzo wiele osób.

Osoby te posiadały wielką ilość odnóży. Mimo to ścieśnienie znaczna część mego ciała wystawała ponad wyładowane do obłędu auto a równocześnie o wiele większa część tej masy tkwiła w przeróżnych częściach ciał pozostałej ilości pasażerów.

To rozmieszczenie masy bądź co bądź trójwymiarowej w przestrzeni prawdopodobnie też trójwymiarowej jest równie niedorzeczne, co zawarcie, dajmy na to, trzech centymetrów kubicznych w jednym centymetrze kubicznym.

Człowiek siedzący na szczycie beczki, a będący autorem tej niedorzeczności, dawał sobie radę z wszelkimi tymi trudnościami bez pomocy matematyków.

Aby wyjechać takim samochodem o godzinie pierwszej w południe, należy koniecznie przyjść po południu o godzinie trzeciej. Czas pomiędzy pierwszą a trzecią należy uważać za okres manewrowania i ten dopust handlowy należy traktować z odcieniem pewnego liberalnego pobłażania. Wiadomo: prywatna inicjatywa.

W każdym jednak wypadku doradzam zabrać ze sobą żywność na kilka dni, gdyż nie wiadomo, jakie niespodzianki czekają nas w tych czasach ze strony matematyków.

Podziemne warunki nauki, koniunktura ułatwiająca wyzwoliny drzemiącego w uczonych pędu do roztrząsań, na pewno doprowadzi do przewartościowania terminów, a co za tym idzie, odjazdu auta.

Skoro więc już uporacie się z trudnościami pojęciowymi, wiedzcie, iż próbować możecie szczęścia nie w żadnym czasie x, y, z, czy x, y, z..., lecz tylko wtedy, gdy auto jest wyładowane po brzegi workami. Uważajcie! nie kwantami Plancka, lecz workami. Tylko wtedy zajeżdża ono pod bramę, oczywiście nie tę, pod którą macie wsiadać — i tylko wtedy szofer czyni to, czego nie powinien czynić: nie pokazuje po sobie, że to on.

Skoro się okaże, kto jest szoferem, wówczas z sąsiedniej bramy wychodzi dwu uprzejmych panów z okularami na czapkach i nakłaniają pasażerów do zwrotu biletów.

Wtedy pewna część pasażerów roztrąca tłum rękami, wdziera się na powierzchnię wozu, otacza się samolubnie walizkami i poczyna ze sobą rozmawiać w sposób obojętny dla dziejących się w świecie wypadków.

Wystarczy podkreślić różnicę dzielącą człowieka od worka łódzkiej manufaktury, aby obaj obywatele przyklasnęli temu rozróżnieniu i by, poszeptawszy z człowiekiem w czarnej opończy, zapewne właścicielem tekstyliów, skłonili śmiałków do opuszczenia wozu.

Wówczas część pasażerów schodzi, część wchodzi, część zatrzymuje się w połowie drogi, jakby nadsłuchując interesujących wołań z odległej bramy. Inna część stoi na wozie z twarzą zaciętą jak twarz gwałconej Lukrecji. Potem pewna zrozpaczona część, nie wiedząc już sama, co czynić, przechodzi przez budkę szofera w tę i tamtą stronę, jeszcze jedna zaś część, zaczajona w okolicach podwozia, wskazuje z nienacka na opróżnione przez część pierwotną miejsca i chwyta się kurczowo części wtórnej.

Ale tymczasem nadciąga poczwórnie większa ilość pasażerów i obywatele z okularami na czapkach poczynają ocierać pot z czoła.

Auto odjeżdża rycząc żałośnie i zatacza się po całej Piotrkowskiej.

Pozostawia na jezdni jakąś staruszkę z ręką na temblaku, chłopca z naderwanym uchem i koszyk jaj, który właśnie w tej chwili pada ofiarą gnającej jak wicher „doczki".

Lecz na tym nie koniec. Cała gehenna tej jazdy rozpoczyna się dopiero za rogatką, kiedy wrażenia miejskie odpadną od człowieka jak skóra od kości. Gdzieś na dziesiątym kilometrze, kiedy auto przebrnie przez wszystkie ariergardy przedmieść, rozlega się demoniczny śmiech kogoś, komu nadepnięto na szyję, kto inny wydaje ryk, jakiego nie wydaje Goering, kiedy go prowadzą do łaźni amerykańscy Żydzi, ktoś odpycha od siebie stos walizek i wtedy, kiedy człowiek zdecydowany jest na zanik przytomności, ocuca go spadająca ze szczytu beczki bańka słonecznikowego oleju.

Jest przeraźliwie jasno, ktoś trzyma się kurczowo twej wyciągniętej nogi, krzemienny guzik na łopatce damy wpija ci się w policzek, najwyraźniej w lewą nogawkę wsuwa ci ktoś parasol... I wtedy auto zatrzymuje się na samym środku jezdni. Carramba!

Postój ma trwać kilka minut, a ponieważ zepsuło się nie to, co się zepsuło, postój trwa o kwadrans dłużej.

Po godzinie okazuje się, że postój był jeszcze za krótki i że gwint w mutrze ma kierunek odwrotny. Tymczasem za samochodem gromadzi się kilometrowych rozmiarów kolumna, która jednak po wytrąbieniu całego zapasu swej złości, zrazu próbuje wyminąć samochód ścieżką prowadzącą przez zboże, ale po namyśle odciąga wóz na bok, chce rozjechać szofera, odjeżdża go jednak.

Szofer ma taki wyraz twarzy, jakby zamierzał odgryźć komuś nos. Nie czyni tego jednak. Wyciąga ze skrzynki coraz to inne narzędzia i najwidoczniej zabiera się do rozbiórki całego samochodu.

Po zastanowieniu udaje się pod wóz, przez kilkanaście minut wyraża tam swój żal z powodu nieprzyjęcia posady w fabryce likierów i po upływie pewnego czasu uderza kluczem w windę.

Auto gotowe! Jedziemy.

Według objaśnień, jakich udzielił pewnemu pasażerowi szofer, maszyna, która nas wiezie, jest żywą mogiłą nieznanego samochodu. Przednie lewe koło jest pochodzenia czechosłowackiego, tylne prawe francuskiego. Przednie prawe i tylne lewe zostało zdjęte z przedwojennego Ursusa. Cały motor ledwo przetrzymał bitwę pod Kutnem, zaś podwozie zostało przywiezione aż spod Mielca. Złożone tam zostało z kilku niemieckich części i jednej włoskiej.

Tylko źle zagwintowana mutra, pochodząca z prywatnych warsztatów samochodowych pewnego zbogaconego transportowca, nie brała udziału w wojnie.

Obywatel, który nam to opowiada, ma bardzo zrezygnowany wyraz twarzy.

Czuję jak śmierć wpycha mi parasol w sam środek serca. No nic. Jedziemy.

Zygmunt Fijas

Życie literackie uchodźctwa polskiego na Węgrzech

Jeżeli mówimy o literaturze emigracyjnej na Węgrzech, nie mamy na myśli jakiegoś środowiska, jakiegoś kierunku, lub „klimatu literackiego". Były to raczej indywidualne porywy, dyktowane jednak szczerą chęcią służenia swoim rodakom spragnionych — jak zwykle na wygnaniu — słowa polskiego. Wskazywały one na to, że nawet w najbardziej niedogodnych warunkach i surowym klimacie słowo polskie nie traci swej żywotności.

Warunki były trudne. Przede wszystkim brak stałego i bezpośredniego kontaktu z krajem. W pierwszym okresie uchodźctwa, gdy Węgry przeżywały „polską gorączkę", a Budapeszt stanowił jedynie przystanek dla przewalającej się na Zachód fali Polaków, jedynym wyrazem twórczości literackiej były sporadycznie ukazujące się w różnych biuletynach, gazetkach obozowych i ściennych wiersze. Przez Węgry przewijało się wielu literatów polskich, lecz nikt prawie z nich na stałe nie zatrzymywał się nad błękitnym Dunajem. Brak było kogoś, kto stworzyłby tzw. „atmosferę". Młodym entuzjastom poezji brak było kierownictwa, wzorów i porady.

Dopiero, gdy z Siedmiogrodu przybyła Kazimiera Iłłakowiczówna, a jednocześnie w Budapeszcie zjawił się Stanisław Vincenz, autor „Na wysokiej połoninie", młodzi zyskali pewnego rodzaju oparcie moralne. Skupili się oni przede wszystkim wokół Vincenza, który zawsze chętnie udzielał im swych rad, uwag i wskazówek.

Iłłakowiczówna, Vincenz, a obok nich znany przed wojną we Lwowie Leon Kaltenbergh byli głównymi organizatorami życia literackiego na Węgrzech.

Iłłakowiczówna, obok licznych wierszy i artykułów, publikowanych w „Wieściach Polskich" i w „Tygodniku Polskim", napisała tom poezji „Wiersze bezlistne". Stanisław Vincenz był bardziej wstrzemięźliwy w publikowaniu swych prac. Mieszkając w zacisznej miejscowości Nogradverоce pod Budapesztem, w tajemnicy kończył drugi tom „Na wysokiej połoninie" pt. „Barwinkowy wianek", z którego opublikował jedynie piękne fragmenty rozdziału „Wiatr nad Pokuciem". Jedynie wtajemniczonym i bliskim znajomym czytał całość. Poza tym napisał krótką rozprawę „Jak należy czytać książkę", oraz piękną, pełną utajonej poezji, monograficzną pracę o Dunaju. Praca ta została przetłumaczona na język węgierski, lecz niestety, z powodu wkroczenia Niemców nie została opublikowana.

Żywą działalność literacką przejawił w Budapeszcie Leon Kaltenbergh. Uprawiał różne gatunki literackie: wiersze, artykuły, essaye, szkice, nowele i przekłady. On był jednym z tych pisarzy, którzy odważnie wypowiadali swoje radykalne przekonania lewicowe. W Budapeszcie ukazały się dwie jego książki: pierwsza to tomik poezji „Troska i słowo", druga to rapsodia poetycka pt. „Przemienienie".

„Wiersze bezlistne" Iłłakowiczównej, „O Dunaju" Vincenza i „Przemienienie" Kaltenbergha — to trzy najpoważniejsze pozycje wydawnicze na Węgrzech. Potem następuje szereg utworów grupy młodych, dopiero na Węgrzech zaczynających pisać autorów.

Są to poeci: Adam Niemczuk, autor trzech zbiorów („Tańcząca wojna", „Wizjony", „Emigracja i pocałunki"), Danuta Bleicherówna („Na krętych ścieżkach"), Jolanta Leliwa („Przeszłe sekundy") i Tadeusz Fangrat, poeta robotniczy z Łodzi („Kolczasta wolność" i „Z żagwią przez mroki"). Młodą prozę reprezentowała Danuta Kossowska (zbiór nowel „Dzień powszedni"), Maria Grażyna Ławrukaniec dała się poznać jako autorka książek dla dzieci („Księżycowa bajka" i „Opowiadania dla dzieci").

Na Węgrzech, jak już wspominałem, środowiska literackiego nie było. Może z biegiem czasu wytworzyłoby się ono, gdyż jesienią 1943 r. grupa młodych literatów z Kaltenberghiem, Zbigniewem Grotowskim, Niemczukiem na czele założyła klub literacki „Start", który szybko rozwinął swoją działalność, organizując z dużym powodzeniem wieczory autorskie i dyskusyjne. Jednak wraz z wkroczeniem w marcu 1944 r. Niemców na Węgry, klub przestał istnieć, a z nim jak wszędzie, przestało istnieć jawne życie literackie.

Adam Bahdaj

Kalendarz kulturalny

Nowe czasopisma. W Warszawie projektuje się w najbliższym czasie wznowienie czasopisma literackiego pt. „Lewy Tor", pod redakcją Teofila Wojeńskiego. W Krakowie przewidziane jest wydawanie miesięcznika o charakterze naukowo-społecznym, poświęconego zagadnieniom kultury i sztuki, pod tytułem „Nauka i Sztuka". Redakcję obejmie prof. Julian Krzyżanowski i dr Stefan Kuczyński, docent Uniwersytetu Warszawskiego. Ponadto w początku sierpnia ukaże się w Krakowie pierwszy numer miesięcznika literackiego pt. „Twórczość" pod redakcją Kazimierza Wyki. Również Bydgoszcz posiadać będzie już wkrótce czasopismo „Arkona", poświęcone zagadnieniom kultury polskiej na obszarze Pomorza.

W Warszawie w ramach obchodu rocznicy Grunwaldu zostały w dniach 14 i 15 lipca nadane audycje radiowe, przedstawiające bitwę pod Grunwaldem w trzech ujęciach: historycznym (prof. O. Halecki), powieściowym (Kraszewski, Sienkiewicz) i poetyckim (Niemcewicz, Konopnicka).

Związek Zawodowy Literatów Polskich w Warszawie zapowiada ogłoszenie konkursu na utwór poetycki lub dramatyczny, nadający się do wykonania na scenie lub na estradzie, poświęcony Stolicy, jej losom wojennym i sprawie odbudowy. W najbliższym czasie projektowane jest ogłoszenie ogólnopolskiego konkursu na utwór dramatyczny, celem dostarczenia teatrom nowych sztuk. Wreszcie w Łodzi zapowiadany jest konkurs na utwór literacki z życia chłopów lub robotników.

W roku akademickim 1945—46 czynne będą na Politechnice Warszawskiej dwa wydziały: inżynierii i architektury. Kandydaci, którzy wykształcenie średnie otrzymali w szkołach zagranicznych, mogą być przyjęci, jeśli świadectwa ich zostaną uznane przez Ministerstwo Oświaty za równorzędne ze świadectwami dojrzałości szkół polskich. Kandydaci nie posiadający wymaganego wykształcenia średniego mogą się zapisywać na czynny przy politechnice kurs wstępny, na którym nauka trwać będzie 1 rok. Po ukończeniu tego kursu zostaną przyjęci na pierwszy rok studiów.

Celem umożliwienia czytelnikom w kraju otrzymywania w najkrótszym czasie aktualnych czasopism poczta wprowadza ułatwienia w prenumeracie w każdym urzędzie i agencji pocztowej, bez dodatkowych opłat.

W Łodzi przedsiębiorstwo „Film Polski" organizuje Instytut Filmowy, mający na celu kształcenie artystów i reżyserów filmowych, autorów scenariuszy i innych pracowników filmu. W Krakowie powstała już pierwsza komórka instytutu. W bieżącym miesiącu do Moskwy udaje się wycieczka filmowców polskich, która będzie gościem Radzieckiego Komitetu do Spraw Kinematografii. Przy tej sposobności filmowcy polscy nawiążą kontakt z Państwowym Instytutem Filmowym w Moskwie i będą mogli skorzystać z jego doświadczeń. Zamierzone jest również wydawanie prac dotyczących literatury, krytyki i techniki filmowej. Tworząca się przy Instytucie Filmowym biblioteka zakupuje książki z zakresu filmu, kinematografii, estetyki i dziedzin pokrewnych.

W Krakowie czynny jest instytut prof. Bujwida, jedyny obecnie zakład w Polsce, produkujący wszystkie niemal znane rodzaje szczepionek i surowic. W ciągu okupacji instytut nie przerwał swych prac, przy czym znamienny jest fakt, że śp. prof. Bujwid w październiku r. 1939 zastrzegł jako warunek wznowienia działalności, że zakłady jego wytwarzać będą surowice i szczepionki wyłącznie dla cywilnej ludności Generalnego Gubernatorstwa. Obecnie instytut zatrudnia ponad 150 osób i rozporządza stacją doświadczalną w Wolicy pod Krakowem.

6 bm. literaci krakowscy gościli wycieczkę dziennikarzy zagranicznych. Słowo powitalne wygłosił prezes Oddziału Krakowskiego Związku Literatów, Kazimierz Wyka; Czesław Miłosz w krótkim przemówieniu zobrazował dzieje pisarza i książki w okupowanej Polsce; poczem goście zagraniczni w szeregu pytań wyrazili swe zainteresowanie dla spraw kultury polskiej. W imieniu literatów i dziennikarzy krakowskich odpowiedzi udzielili: K. Wyka, Cz. Miłosz, A. Polewka, K. Kuryluk i J. Frühling. — Dnia 10 bm. w lokalu Związku Zawodowego Literatów odbył się odczyt Mirosława Starosta pt. „Prolegomena filozofii narodu". — Dnia 11 bm. w tymże lokalu Artur Sandauer odczytał swe przekłady z poezji Heredii, Valery'ego i Majakowskiego a Stanisław Dygat fragmenty powieści pt. „Jezioro Bodeńskie" — w ramach cyklu wieczorów autorskich pt. „Żywa książka". Słowo wstępne wygłosili: Czesław Miłosz i Kazimierz Brandys. — Dnia 13 bm. Adam Polewka wygłosił odczyt pt. „Zagadnienia praktyczne literatury współczesnej". W niedzielę, dnia 15 bm. odbył się w lokalu Związku wieczór autorski Adama Ważyka. Recytował Wł. Woźnik.

W Bydgoszczy Klub Artystyczno-Literacki organizuje szereg imprez kulturalnych w bydgoskim Domu Sztuki. Dnia 11 bm. odbył się wieczór literacki, poświęcony twórczości Elizy Orzeszkowej. W najbliższym czasie urządzona zostanie staraniem Klubu wystawa obrazów Leona Wyczółkowskiego.

Teatr w Bydgoszczy pod dyrekcją Antoniego Rodziewicza mimo braku odpowiednich warunków (gmach teatralny uległ zniszczeniu i teatr mieści się w prowizorycznie urządzonej sali), czynny jest od marca bieżącego roku. Dotychczas wystawiono „Zemstę", która osiągnęła cyfrę 40 przedstawień, „Pannę Maliszewską" Zapolskiej oraz „Wesele Figara" Beaumarchais. Repertuar na najbliższą przyszłość obejmuje „Walący się dom" Morozowicz-Szczepkowskiej, „Przepióreczkę" z udziałem Osterwy oraz „Partyzantów" Wsiewołod Iwanowa.

W Rybniku inspektorat szkolny przystąpił do organizacji powiatowej i gminnych rad bibliotecznych, których zadaniem będzie zbiórka i zakup książek polskich, organizacja bibliotek powszechnych i czuwanie nad rozwojem czytelnictwa.

W województwie kieleckim rozpoczęły swą działalność 3 uniwersytety ludowe. Na terenie województwa rzeszowskiego organizuje się 6 uniwersytetów ludowych, m. in. w Rzeszowie, Łańcucie i Przeworsku. Uniwersytety organizuje Związek Samopomocy Chłopskiej w porozumieniu z kuratorium szkolnym i organizacjami młodzieżowymi.

W Tarnowie założony Związek Zawodowy Artystów, który skupia przebywających w tym mieście plastyków, rozpoczął swą działalność urządzeniem pośmiertnej wystawy prac artystów związanych z Tarnowem, Alojzego Majchra i Tadeusza Króla, zamordowanych przez Niemców.

Konkurs na sztukę teatralną. Wydział Propagandy Komitetu Powiatowego PPR w Będzinie (Kołłątaja 55) przypomina o trwającym konkursie na sztukę teatralną związaną tematycznie z okresem okupacji. Ustalone nagrody w wysokości zł. 3000 i 2000 ulegną podwyższeniu w zależności od poziomu nadesłanych prac. Sztuki nagrodzone, zostaną wystawione w teatrze w Będzinie. Termin nadsyłania utworów upływa w dniu 30 lipca br.

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE PROGRAMÓW NAUCZANIA

Do redakcji „Odrodzenia"

Kilkakrotnie ukazywały się w prasie wzmianki o mającej nastąpić reformie szkolnictwa, o pracy nad przygotowaniem do druku nowych podręczników. Jest to potrzeba paląca i nic dziwnego, że budzi zainteresowanie społeczeństwa. Niestety prócz ogólnikowych wiadomości o zamierzonych reformach, nic o toczących się pracach nie zostało opublikowane.

Rozwiązanie problemu szkoły średniej dostępnej dla wszystkich, szkoły dla wsi, programów szkolnych, wyjaśnienie różnic z programami nauczania sprzed wojny, sprawa dokształcenia tych wszystkich, których dotknęła niemożność uczenia się w okresie okupacji — są to zagadnienia tak ważne, że prace nad rozwiązaniem ich nie powinny być ukrywane aż do chwili wprowadzenia nowych zarządzeń w życie. Było by też rzeczą wskazaną, żeby ogół nauczycielstwa mógł się zapoznać z duchem i literą nowych programów zanim przyjdzie według nich nauczać.

Jednym z ważnych czynników wychowania obywatelskiego w szkole jest nauka historii ojczystej. Na tym polu właśnie najbardziej jesteśmy zacofani i całe nasze piśmiennictwo, pełne fałszu, przesiąknięte jest ideologią szlachecką. Czy młodzież polska ma się nadal wychowywać na ideałach różnych Kmiciców, różnych Połanieckich, czy syn osadnika na Zachodzie, trudem rąk własnych pieczętującego powrót ziem zachodnich do Polski, ma mieć za wzór pionierskie trudy Jeremiego Wiśniowieckiego i Wołodyjowskiego? Rewizja naszych poglądów na historię Polski będzie stanowić epokę w naszym życiu umysłowym. Wierzę, że nowy podręcznik historii Polski (chociaż i stare podręczniki historii ogólnej te same posiadały braki) będzie przełomem na drodze likwidacji błędnych poglądów.

Zapoznanie się z poglądami autorów na różne problemy i wydarzenia historyczne, z wytycznymi ich pracy, zapoznanie się ze zmianami w ocenie faktów ze stanowiska materializmu historycznego było by pożądane jeszcze przed ukazaniem się podręczników.

Istnieje i wiele innych ważnych zagadnień podobnej natury, związanych z naszym szkolnictwem, z których żadne nie zostało w naszej prasie poruszone. Nie chcę zresztą dobijać się do drzwi otwartych, sprawy te omawiali ob. ob. Sieradzki i Kott w nr 25 „Odrodzenia".

Zwracam się zatem do ob. redaktora, żeby, może przez wywiad z ob. ministrem oświaty, poruszyć sprawę programów nauczania, wszystkie za i przeciw projektowanej reformy szkolnej i poprosić autorów, względnie komisję opracowującą nowe podręczniki o opublikowanie sprawozdania z ich trudnego dzieła. Sądzę, że było-by to zupełnie w duchu demokratycznym.

Jan Łazarz (Wieluń)

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Prenumerata miesięczna 21 zł., kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M—02932